№ 32 Warszawa, dnia 25 Lipca (6 Sierpnia) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIEJ"

WACŁAW SZRENIAWA POTOCKI.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Po długiej i pięknej przemowie do poematu, w której autor wypomina najświetniejsze chwile narodu polskiego, rozpoczyna Potocki „Wojnę Chocimską", oddając za przykładem Homera utwór swój pod opiekę, czyli wezwanie Bogu.

Boże! którego nieba, ziemie, morza chwalą,
Co tak mdłem piórem, jako władniesz groźną stalą,
Ciebię proszę, abyś to, co ku twojej wdzięce,
W tem królestwie śmiertelnem chcąc wspominać, ręce
Szczęścić raczył; boć to jest dzieło Twoje prawice:
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
Mięszać pysznych i z błotem górne równać myśli,
Przez tych którzy swą siłą od ciebie zawiśli.

Po tem wezwaniu zaczyna się poemat Potockiego. Zewnętrzna jego forma bardzo prosta. Dzieli się na dziesięć części, i jest pisany trzynastozgłoskowym rymowanym pierwszy z następnym wierszem.

Treścią poematu, jak już z tytułu można się domyślać, jest wojna pod Chocimem.

Jednakże, aby lepiej wykazać przyczyny tej wojny, Potocki o wiele wpierw zaczyna swój poemat.

Na wstępie w pierwszej części opowiada, zkąd Turcy wzięli się do Europy — jakim sposobem zawojowali Azyą, zdobyli Bizancyum i zamieszkali w Konstantynopolu.

W całym tym jego opisie widzimy jak najdokładniej postać samego autora. Wytworna plastyka, silne jej rysy, ostry i jędrny rysunek, pomimo tego, że martwy jak skała, jednak żywo przedstawiający nam co działo się w duszy ówczesnego społeczeństwa na odgłos walk tureckich: (str. 81, 82).

Pojrzyj, o wieczny Boże, któryś niegdy tęgiem
Ujął gniew sprawiedliwy przez niebo popręgiem,
I wiecznieś malowniczą zawiązał obręczą
Swój arsenał — zkąd gromy twe nad światem brzęczą:
Pojrzyj na tęczę — którą słońce twej dobroci —
We krwi i wodzie świętym rumieńcem stokroci,
W tej krwi którą stoczyła niedołęga nasza,
W tej wodzie, co Twych sądów na ludzi przygasza,
Przez tę krew, przez tę wodę, która jednym stokiem
Lała się, wytoczona Syna Twego bokiem!
Proszą cię chrześcianie — Stwórco miłosierny,
Zamknij krwią w Cię wierzących żałosne cysterny.
Nie racz ich, nie racz, Panie, z twardym Faraonem,
Za wielkie grzechy w morzu zagubić Czerwonem.
Niech jej nie toczy srogi bisurmanin czopem,
Nie racz świata drugi raz zatracać potopem;
Ale niech nasze serca wady i niesnaski,
Przeciw sobie wyrzucą — a dla Twojej łaski,
My pod nowo przymiernym, którzy żyjem kluczem,
Tobie krzywdy i swoje wyrazy poruczym.
Ty pokażesz kto winien; za twych ludzi zgodą
I puszczą rogi poganie — któremi nas bodą,
I jeśli nie powrócą — co naszą nieswoją
Wzięli — przynajmniej więcej już niechaj nie biorą.

Oto wzorek plastyki, oto modlitwa poety, pełna obrazowości i wdzięcznych porównań, najlepiej świadczy o usposobieniu twórcy i o zgrozie, która, na wieść o nawale tatarskiej, wstrząsnęła niezawodnie każdym człowiekiem.

Niezaprzeczenie w ustępie tym przebija się wiele poszanowania dla religii chrześciańskiej. Znać tu nawet silną nieprzełamaną wiarę w dobrą sprawę, która staje się jedyną pocieszającą myślą dla całego ówczesnego społeczeństwa.

Ta myśl przeoduje u Potockiego w całej pierwszej księdze „Wojny Chocimskiej".

Wreszcie to porównanie biblijne, ta tęcza zawieszona na niebie, jako pamiątka, to przypomnienie, że więcej tak strasznie „Bóg gniewać się nie będzie", jest nieopisanie rzeczą piękną, wyrażoną zwięźle i z niesłychaną dotąd siłą słowa w polskiej poezyi (rok 1669).

To też, to usunięcie obawy, to zachęcenie do dalszej obrony przeciw Turkowi, gdzie chodzi już tylko o to — aby mu nie dać więcej rwać kraju, rwać ojczyzny i nie pozwolić rozszerzać się w Europie, to jedynie powodowało głównie Potockiego do napisania tej księgi.

Czas, w którym on ją pisze, jest to czas najstraszniejszego rozstroju w Polsce, szarpanej na przemiany: to wojną domową, to rokoszami, to najściem chciwych i groźnych nieprzyjaciół.

Sobieskiego brak na horyzoncie i jeszcze go nie widać, a w rządy Jana Kazimierza — do tego stopnia już naród zwątpił, że nawet jego cyfrę J. C. R. tłomaczono jako symbol nieszczęścia: *(Initium calamitatum regni).*

Gdyby nawet „Wojna Chocimska" nie miała bliższych śladów swojego powstania — niezaprzeczenie byłoby można o niej powiedzieć, że nie jest tworzoną wprost po zwycięztwie! Ten charakter, zwłaszcza części pierwszej, w której autor myśli tylko o obronie, jest dowodem zupełnie wystarczającym, iż w duszy jego tkwiło jakieś zwątpienie, wywołane zbiegiem okoliczności!...

Wiersz, w którym z taką rezygnacyą powiada:

—„Widać Bóg, który tego świata podkomorzem,
Jednem się nam rozkazał kontentować morzem..."

może tylko być ostatecznie dowodem, jak Potocki

rozumiał dobrze potrzeby i wpływ morza na dobrobyt kraju, i jak zwątpił w dotarciu powtórnie do tegoż!

Gdyby „Wojna Chocimska" powstała wprost po zwycięztwie chocimskiem, gdyby przypuśćmy powstała, chociaż po wyprawie wiedeńskiej, mógłby i miał prawo poeta, choć niezupełnie naturalnym głosem, zawołać: „hosanna" i wskazać, aby w imię wiary i korony z orężem w dłoni posunął się naród na Wschód — upominając się o swoje prawa.

Ale oprócz samych rozruchów i smutnego położenia kraju nie było o czem myśléć.

Turek był groźnym i strasznym nieprzyjacielem. Oddawna już drżała przed nim cała Europa. Papież i cesarz niejednokrotnie usiłowali zgnieść pogańskiego smoka, ale nikomu nie udało się stawić oporu barbarzyńskiej nawale.

To też Warneńczyk, jedynie z przyczyny fałszywej namowy, okupił Polsce pokój swoją własną głową, który potem zawarł jego następca Kazimierz Jagiellończyk, spisując traktat na wieczne czasy. Traktat ten dotąd dobrze był zachowywany. Dopiero Potocki Stefan, pragnąc swojemi siłami przywrócić na hospodarstwo mołdawskie Konstantego Mogiłę, dolał miarki do naruszonego i tak już przez Kozaków pokoju i ściągnął na Polskę mściwy napad Tatarów. Żołkiewski dwukrotnie wydelegowany przeciwko nieprzyjacielowi, o wiele groźniejszemu, nie przyjął boju, za co ściągnął liczne szemrania szlachty na sejmie 1617/18 r. Król jednak stanął w jego obronie i dał mu wakujące kanclerstwo.

Niedługo jednak Polska cieszyła się traktatami Żółkiewskiego, któremi przyrzeczono powstrzymać kozaków.

—„Trzymał się ten pokój, ale na papierze",
......bo Zaporożec mając to za bajki,
Sunie chiżo ku Dniepru obciążone czajki,
I jeśli za sobą obaczy pościgi,
Tak z bliska, jak z daleka pokaże im figi.

Kozacy więc stali się przyczyną naruszenia wieczystego pokoju.

Poduszczony przez Iskendera-baszę i Betlen-Gabora, wojewodę siedmiogrodzkiego, który już po raz drugi przeciwko Polsce nieprzyjaźnie występował, sułtan zniewarzył posła polskiego Otwinowskiego i wyprawił ogromne wojska przeciwko Polsce w roku 1620.

Żółkiewski przeszedł Dniestr i 5 września zajął dawne obozowisko pod Cecorą.

Oblegli go Iskiender basza, Kałgaj chański i Katomir murza dziesięciokrotnemi siłami. Wewnątrz obozu starzy nieprzyjaciele hetmańscy: Korecki, Chmielnicki, Karnkowski, o czem przemilcza autor, sieli ducha niezgody. Poczęto opuszczać obóz i przenosić się do Polski. Hetman chciał taborem uprowadzić do granic polskich resztę rycerstwa.

Nowe zaburzenia wśród marszu (6 paźd.), które autor w podstęp turecki zamienia, stały się przyczyną: rozbicia taboru już w pobliżu Dniepru i tragicznej śmierci jednego z najzacniejszych i z najlepszych wodzów polskich, jakim był Stanisław Żółkiewski. Wybornie jest przedstawiony u Potockiego tabor, ta poruszająca się twierdza; zrobiono ją z wozów, które pospinano łańcuchami, w środku zaś umieszczone woły ciągnęły ją. Oto opis:

— W siedm zebrane szeregów skartowano wozy,
Z pola spięte łańcuchy, a zewnątrz powrozy,
Że w jeden raz: wszystkie stać—wszystkie iść musiały;
Przód i tył nabitemi opatrzono działy.
Jezdne konie we środek, bo wszyscy piechotą
Z obu stron taboru — rota szła za rotą...
. . . .
Rusza tabor, pogaństwo zrazu zadumane,
Patrzy, co to za dzieło? (Str. 100).

Z całą dokładnością jest opisana ostatnia chwila walki, kiedy na garstkę polską napada cała horda turecka przeszło dziesięć razy większa... Ten tylko został się żyw pod Cecorą, kto się ratował ucieczką.

Bardzo trafnie też przedstawił Potocki Żołkiewskiego jakby chciał tu z ironią odeprzeć te krzyki powstałe na Żołkiewskiego na sejmie 1617/18 r.

...Mógł był żyć, mógł się był i nie dać
Żołkiewski, lecz się wstydał panu odpowiadać,
Że wojsko zgubił! *że się porwał bez uwagi*,
Że dał sromotne Rzeczypospolitej plagi;
Wolał przeto, bijąc się, paść w marsowem polu...

Oto odpowiedź wystarczająca i przewyższająca wszystkie rozumowania sejmów, na których parę lat przedtem krzyczano, dlaczego Żółkiewski zawiązywał traktaty... a teraz gdyby wrócił, wołanoby, *„że się porwał bez uwagi"*.

Przykre te pare słów, są dosadną charakterystyką czasów, w których duch państwa bardzo podupadł. Na sejmie za Zygmunta Augusta nie robionoby zapewne tych uwag, ale dziś były możebne.

Taki jest początek „Wojny Chocimskiej", taki jest epizod pierwszej części, zawierającej opis nieodżałowanych strat bitwy pod Cecorą. Autor bardzo wybitnie przedstawia nam czas, a działające tu postacie zupełnie w historyczne przybrane są szaty.

* * *

(D. c. n.)

Dlaczego?

Dlaczego zwykle po ciszy burza,
I wicher drzewa obala?
Czemu tęsknota czoło zachmurza
I serce cierniem okala?

Dlaczego słowik śpiewa miłośnie,
Składając hołdy przyrodzie?
Dlaczego dziewczę grucha żałośnie,
Gdy boleść serce przebodzie?

Dlaczego komar przy świetle krąży,
Pada w płomienie i ginie?
Czemu wciąż człowiek do szczęścia dąży,
Choć te go zawsze ominie?

Dlaczego młodość marzy radośnie,
Puszczając wodze swym chęciom?
Czemu dziewica w szesnastej wiośnie,
Ufa miłosnym zaklęciom?

Dlaczego ludzi niedola gniecie,
Wieku i stanu każdego?
Dlaczego nie ma szczęścia na świecie,
Powiedzcie, proszę, dlaczego?

Kazimierz Lechnicki.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez
ALEKSANDRA DUMASA.
Przekład
J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XXV.

Co się działo w Frankfurcie od czasu bitwy pod Langesalza do bitwy pod Sadową.

Frankfurt z oddali śledził z niepokojem przewrót i walki toczące się w Niemczech, nieprzypuszczając jednak, aby mogły i na jego wpływać losy.

Dnia 29 czerwca książę Karol bawarski został mianowany jenerałem wojsk związkowych; tegoż dnia doszła do Frankfurtu wiadomość o zwycięztwie Hanowerczyków pod Langesalza. Wiadomość ta wielką radość wywołała w mieście, nieśmiano jednak objawiać jej zbyt głośno.

Dnia 30 czerwca Rudolfstadt i miasta hanzeatyckie oznajmiły, że odłączają się od związku.

Dnia 1 lipca dowiedziano się o kapitulacyi wojsk hanowerskich.

Dnia 4 lipca dzienniki pruskie oskarżają Frankfurtczyków, że wypędzili z miasta wszystkich poddanych pruskich, nawet więcej niż od lat dziesięciu tam już osiadłych, a na wiadomość o zwycięztwie Hanowerczyków pod Langesalza, świetnie illuminowali całe miasto.

Nie było to prawdą, ale choć fałszywe, artykuły te przeraziły Frankfurtczyków — zrozumieli, że Prusacy szukają pozorów do kłótni, co było tem prawdopodobniejsze, iż rozeszły się pogłoski: że wiedząc jak niemiłe zostawił wspomnienie u mieszkańców jego pobyt we Frankfurcie przed laty piętnastu, i znając ich nienawiść do Prusaków, przysiągł sobie, że Frankfurt stanie się kozłem ofiarnym Niemiec.

Dnia 5 lipca smutek zapanował w mieście: dowiedziano się o porażce Austryaków, poniesionej między Königsgraetz a Josefstadt. Dnia 8 lipca doszły wieści o bitwie pod Sadową.

Pokazało się że fatalista Speltz dobrze ocenił Benedeck'a: po dwóch przegranych stracił głowę; Saturn górował nad Marsem i Jowiszem.

Szczególniej przeraził Frankfurtczyków rozkaz wydany przez związkową komisyę militarną, aby obwarować okolice miasta. Tym razem Senat wyszedł ze swej nieruchomości; zaprotestował w Sejmie, że Frankfurt, jako wolne miasto, nie chce i nie może być oszańcowanem. Jednak, mimo tej protestacyi, znaczna liczba wojsk zgromadziła się we Frankfurcie.

Dnia 12 przybył znów korpus armii federalnej, zostający pod dowództwem księcia Aleksandra heskiego, złożony z Wirtemberczyków, Badeńczyków i brygady austryackiej, pod komendą hrabiego Monte-Nuovo.

Stanąwszy w Frankfurcie, hrabia Monte-Nuovo zapytał gdzie jest dom pań de Chandroz, i kazał sobie dać kwaterę u mieszkającej w nim pani von Beling. Pod nazwiskiem Monte-Nuovo kryje się głośniejsze, von Neüperg, a hrabia był synem Maryi-Ludwiki, wdowy po Napoleonie I, z drugiego jej małżeństwa z feldmarszałkiem von Neüperg.

Jenerał Monte-Nuovo był to piękny, wysoki męż-

czyzna, mogący mieć około pięćdziesięciu lat, salonowy, pełen dystynkcyj; przedstawił się pani von Below ze znaną uprzejmą grzecznością wyższych oficerów austryackich, a witając Helenę szepnął jej cicho: Karol von Freyberg!

Helena drgnęła.

Emma, jako żona oficera pruskiego, nie chciała robić honorów domu człowiekowi z którym może nazajutrz mąż jej bić się będzie, wymówiła się więc świeżo odbytą słabością, i opuściła salon. Hrabia Monte-Nuovo pozostał sam z Heleną. Nie potrzebujemy dodawać jak niecierpliwie oczekiwała tej chwili.

— Panie hrabio, rzekła, jak tylko zostali sami, wymieniłeś nazwisko...

— Człowieka który panią ubóstwia.

— Który jest moim narzeczonym.

— Wiem o tem, odrzekł, hrabia von Freyberg jest moim przyjacielem, prosił abym pani oddał ten list, a nadto udzielił słownych o nim wiadomości.

— O! dziękuję panu hrabiemu, zawołała Helena biorąc list. Poczem dodała: pozwoli pan hrabia przeczytać?

— A! pani, odrzekł kłaniając się.

I zaczął niby przyglądać się portretowi pana von Beling w paradnym mundurze.

List obejmował ponawianie przysiąg i zapewnienia dozgonnej miłości — jak zwykle w listach kochanków. Stare to, a zawsze nowe frazesy; kwiaty zerwane w dzień stworzenia świata, a po sześciu tysiącach lat zarówno woniejące jak pierwszego dnia.

Przeczytawszy rzekła do hrabiego:

— Karol zrobił mi nadzieję, że raczy pan hrabia udzielić mi ustnie pewnych o nim wiadomości, i dodaje: że przed potyczką z Prusakami może będzie mógł jeszcze widzieć się ze mną.

— Jest to bardzo prawdopodobne, szczególniej jeźli nie przyjdzie do bitwy z Prusakami przed dwoma lub trzema dniami.

— Gdzie hrabia go zostawił?

— W Wiedniu, gdzie organizował swój hufiec wolnych strzelców. Umówiliśmy się, że zjedziemy się w Frankfurcie.

— Pisze mi, oficerem w jego oddziale został znany mi pewien młody Francuz.

— Tak, poznał go u króla hanowerskiego; Francuz ten nazywa się Benedykt Turpin.

— A! przypominam sobie, to ten sam za którego chciał mnie wydać mój szwagier, przez wdzięczność za zadaną sobie przez niego ranę.

— Jakto?... nie rozumiem! rzekł hrabia.

Helena opowiedziała hrabiemu co wiedziała o pojedynku Fryderyka z Benedyktem.

Gdy kończyła, zadzwoniono do drzwi wchodowych. Jan poszedł otworzyć.

Zapytano o panią Beling. Usłyszawszy dźwięk głosu pytającego, Helena zadrżała.

— Co pani jest? zapytał hrabia, zbladła pani bardzo.

— Ah! ten głos... zdaje mi się...

Drzwi się otworzyły; wszedł Jan, meldując:

— Hrabia Karol von Freyberg!

— Ah! zawołała Helena, poznałam głos jego.

Hrabia wszedł w tej chwili i przycisnął do serca narzeczoną. Poczem zobaczywszy hrabiego Monte-Nuovo wyciągnął do niego rękę, mówiąc:

— Przebacz, hrabio, ale wszedłszy tu, ją tylko widziałem. Wszak prawda, że Helena jest tak piękna jak mówiłem?

— Piękniejsza jeszcze, odrzekł hrabia.

— Droga, ubóstwiona Heleno! zawołał Karol, padając przed nią na kolana i całując jej ręce.

Hrabia Monte-Nuovo rzekł z uśmiechem:

— Kochany Karolu, przybyłem tu przed godziną i zażądałem kwatery w tym domu, aby módz się wywiązać z twego polecenia. Spełniłem je właśnie, gdyś zadzwonił — już więc nie jestem tu potrzebny — bo jeźli nawet zapomniałem czegoś, sam temu zaradzisz, a zwracając się do Heleny, dodał: mam zaszczyt pożegnać panią.

Narzeczeni pozostali sami. W pośród tak gwałtownych dokonywających się wstrząśnień politycznych, los nastręczał im jednę z tych rzadkich chwil, jaką tylko swoich uprzywilejowanych obdarza.

Wieści nadchodzące od Północy, były prawdziwe — jednakże w Wiedniu nie stracono jeszcze nadziei. Cesarz z rodziną i skarb państwa miał przenieść się do Pesztu; gotowano się do zaciętego oporu i obrony. A nadto odstąpienie Wenecyi pozwalało ściągnąć ztamtąd 160,000 żołnierzy, mających wzmocnić armię północną. Potrzeba było aby jednego zwycięztwa, aby podnieść upadłego ducha żołnierzy — spodziewano się, że książę Aleksander heski odniesie to zwycięztwo.

Prawdopodobnie bitwa stoczona będzie w okolicach Frankfurtu, i dlategoto Karol przyłączył się do korpusu księcia heskiego, do brygady hrabiego Monte-Nuovo. Co do tego, pewnym był, że się dzielnie bić będzie, hrabia bowiem był mężny i odważny, a prócz tego jako spokrewniony z cesarzem Franciszkiem Józefem, musi pragnąć gorąco aby dom austryacki, do którego należał, wyszedł zwycięzko z tej walki.

Helena nie spuszczała oczu z Karola. Miał na sobie ubiór strzelecki, jaki zawsze nosił udając się na polowanie; jednakże w całej jego postaci było cóś wojowniczego, czoło surowsze było i poważniejsze. Znać było, że zna blizkie grożące mu niebezpieczeństwo, i że stawi mu śmiało czoło jako żołnierz, ale zarazem jako człowiek umiejący cenić życie, po nąd które sam tylko honor swój stawia wyżej.

Pod ten czas, oddział Karola, którego drugim dowódzcą był Benedykt, biwakował o sto kroków od dworca kolei, prawie pod oknami burmistrza Felnera. Oddział ten był całkiem na koszcie Karola, który na ten cel sprzedał jednę ze swych ziemskich posiadłości. Każdy z jego strzelców pobierał codziennie pół guldena na żywność. Byli uzbrojeni w karabiny Lefaucheux, które zarówno jak iglicówki dają 8 do 10 strzałów na minutę, tak więc stu ludzi mogło dać 10,000 strzałów.

Burmistrz wracając do domu, zastał przed domem ten mały oddział w nieznanych sobie mundurach; zatrzymał się, przypatrując im się ciekawie. Gdy spojrzał na dowódzcę, twarz jego wyrażała niemałe zdziwienie; zdawało mu się, że to nie obca mu postać. Jakoż dowódzca ten zbliżył się mówiąc z uśmiechem:

— Czy pan burmistrz Felner pozwoli zapytać się o swoje zdrowie?

Powiedział to po niemiecku z doskonałym akcentem.

— A, tam do kata!... pan Benedykt Turpin!... wszak się nie mylę?

— Brawo! widzisz pan iż miałem słuszność mówiąc iż organ pamięci jest u niego doskonale rozwinięty! Inaczej niebyłbyś mnie pan poznał w tym stroju.

— Więc wstąpiłeś pan do wojska?

— Tak, jestem teraz oficerem-amatorem.

— Proszę, chodź pan do mnie — zapewnie potrzebujesz wypocząć, a strzelcy pana pewnie mają wielkie pragnienie. Wszak prawda, moi przyjaciele?

Roześmieli się głośno, a jeden odpowiedział:

— No, tak, mniej więcej, zawsze mamy pragnienie.

— Dobrze więc, każę wam wynieść kieliszki i 25 butelek wina, odrzekł burmistrz, a pana proszę z sobą.

— Pamiętajcie, że z okna będę was pilnował, więc zachowajcie się dobrze, rzekł Benedykt do strzelców.

— Niech pan kapitan będzie spokojny, odpowiedzieli.

— Pani Fellner, rzekł burmistrz wchodząc, oto kapitan wolnych strzelców któremu dano bilet kwaterunkowy do nas — trzeba go przyjąć jak najlepiej.

Pani Fellner siedziała zajęta krzyżową robotą; podniosłszy oczy spojrzała na gościa. I na jej twarzy odmalowało się zdziwienie:

— Ah! czy nie uważałeś, mój przyjacielu, jak nadzwyczajnie pan ten jest podobny do owego francuzkiego artysty? zawołała.

— No, darmo, nie uda się zachować *incognito;* przywitaj się z żoną moją, kochany panie Benedykcie, widzisz że cię poznano.

Burmistrz, wierny uczynionej obietnicy, wziął klucze i sam zeszedł do piwnicy wydać służącemu wino dla strzelców Benedykta. Zaledwie drzwi zamknął, jak tylko pani Fellner została sama z młodym Francuzem, pochwyciła obie jego ręce, wołając:

— Ah! panie, dopiero po wyjeździe jego dowiedziałam się jak straszną zrobiłeś przepowiednię memu mężowi. Czy mam wziąć to za żart, czy obawiać się spełnienia tak przerażającej wróżby?

— Daruj pani, ale nie przypominam sobie co miałem zaszczyt powiedzieć mężowi pani, musiałbym znów przypatrzeć się jego ręce.

— Więc pan rzeczywiście w to wierzysz, zawołała przerażona, że z ręki człowieka można wyczytać jego przyszłość?

— Jestem zanadto dobrym chrześcianinem, abym nie miał wierzyć temu co napisane jest w biblii?

— W biblii!... krzyknęła. Jakto, więc to co powiedziałeś pan panu Fellnerowi, jest napisane w biblii?

— Nie, nie to właśnie, ale w księdze Joba, rozdział 37, ustęp VII, czytamy: „*Bóg znaczy na ręce wszystkich ludzi, aby każdy znał sprawy swoje.*" A Mojżesz znowu powiedział: „*Prawo Boże wypisane na czole twojem i na ręce twojej.*"

— Tak więc nie dopuszcza się grzechu ani bezbożności kto znaki te stara się poznać i wytłomaczyć?

— Nie, pani, odrzekł Benedykt, religia nie zabrania nam bynajmniej zajmować się tą tajemniczą nauką.

— Lecz czyż nie ma sposobu walczenia i odwrócenia tego — jak to powiedzieć, fatalizmu?

— I owszem, pani, jesteśmy obdarzeni wolną wolą: „*Homo sapiens dominabit astra*" powiedział Arystoteles, co znaczy: „Mądry człowiek zapanuje na gwiazdami". Niech pan Fellner pokaże mi jeszcze swoją rękę i usłucha mojej rady, a może zdoła uniknąć swego przeznaczenia.

— Mąż mój nadchodzi! zawołała pani Fellner, nie wspominaj mu pan nic o moich obawach — śmiałby się ze mnie.

Rzeczywiście burmistrz wracał wydawszy wino dla żołnierzy. Za chwilę mógł się przekonać, że im smakowało, gdyż krzyczeli głośno: Niech żyje pan burmistrz!...

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT I.

(Dalszy ciąg.)

Scena dziewiąta.

Też i ROGER.

Roger. Jakżem szczęśliwy kochana mamo, że cię widzę nareszcie!

Pani de Céran. I ja także, mój synu. (Wyciąga rękę do pocałowania.)

Roger. Nie widzieliśmy się tak dawno.

Księżna (na str.). Przynajmniej się nie zaduszą w uścisku.

Pani de Céran. Księżna, mój przyjacielu.

Roger (idąc ku Księżnej). Księżna!

Księżna. Nazywaj mnie twoją ciotką i uściskaj mnie.

Roger. Moja droga ciociu. (Chce ją pocałować w rękę.)

Księżna. Ależ nie, pocałuj mnie w twarz, w policzki, są to zyski należne memu wiekowi... No przypatrz-że mi się... zawsze ty mi wyglądasz na skromnego studencika! Ho! ho! pozwoliłeś wysypać się wąsikom! ale co to pomoże, kiedy ten chłopiec zawsze będzie wyglądał filgranowo.

Pani de Céran. Spodziewam się Rogerze, że ostrzyżesz to.

Roger. Bądź mamo spokojna... A, panna Łucya! dzieńdobry!

Łucya. Dzieńdobry panie Rogierze. (Ściskają się za ręce.) Piękną pan odbyłeś podróż!

Roger. Bardzo zajmującą — proszę sobie wyobrazić kraj prawie nieznany i tak jakiem ci pisał, panno Łucyo, będący prawdziwą kopalnią dla badacza, poety i artysty.

Księżna (siadając). A kobiety? Cóż mi powiesz o kobietach?

Pani de Céran. Księżno!

Roger (zdziwiony). Jakie kobiety, proszę cioci?

Księżna. Kobiety Wschodu, które są tak piękne jak powiadają... A! ty nicpotem!

Roger. Przyznam się cioci, że mi zabrakło czasu, ażeby sprawdzić... ten szczegół.

Księżna (z oburzeniem). Szczegół!

Roger (z uśmiechem). Wreszcie gubernator nie na to mnie wysłał.

Księżna. W takim razie cożeś widział?

Roger. Przeczytasz o tem księżno w „Przeglądzie archeologicznym”.

Łucya. O pomnikach pogrobowych Azyi zachodniej, nieprawdaż, panie Rogierze?

Roger. Łucyo, panno Łucyo, jakież tam są *tumuli!*

Łucya. Są *tumuli?*

Księżna. Dajcież mi pokój, moi państwo, będziecie bredzić jak zostaniecie sami. Powiedz-no, pewnieś trochę znużony? wszak dopiero przyjechałeś?

Roger. Nie, ciociu — od wczoraj już jestem w Paryżu.

Księżna. Byłeś w teatrze?

Roger. Nie — poprostu byłem u ministra.

Pani de Céran. Doskonale, i cóż ci powiedział?

Łucya. Zostawiam państwa.

Pani de Céran. Możesz zostać, Łucyo.

Łucya. Nie, będzie daleko przyzwoiciej, gdy odejdę, lecz powrócę za chwilę... Do widzenia panie Rogierze.

Roger (ściskając ją za rękę). Do najprędszego, panno Łucyo.

Księżna (na str.). Co się tych dwojga tyczy, niepodobna kochać się spokojniej. (Łucya wychodzi, Roger odprowadza ją aż do drzwi. Pani de Céran siada na fotelu z drugiej strony stołu.)

Scena dziesiąta.

Ciż bez ŁUCYI.

Pani de Céran. Więc cóż ci powiedział minister?

Księżna. A tak, mówmy więc o tem.

Roger. Badał mnie co do rezultatów podróży i żądał ode mnie sprawozdania w jak najkrótszym czasie, naznaczając mi w dniu jego oddania nagrodę, którą odgadujecie zapewne. (Wskazuje dziurkę u fraka przy której zawiesza się wstążkę orderową.)

Pani de Céran. Oficera legii — dobre i to, ale ja mam coś lepszego dla ciebie. A potem?

Roger. Potem polecił mi wyrazić mamie swoje uszanowanie, prosząc zarazem ażebyś myślała o nim z okazyi owego prawa w Senacie.

Pani de Céran. Będę myśléć o nim, jeżeli on będzie myśléć o nas... Musisz się natychmiast wziąć do sprawozdania.

Roger. W tej chwili się zabiorę.

Pani de Céran. Złożyłeś karty prezydentowi?

Roger. Dziś rano, a także generałowi de Briais i pani de Vielfond.

Pani de Céran. Dobrze. Potrzeba, aby wiedziano o twym powrocie, zresztą poślę notatkę do dzienników. A propos dzienników, jedna uwaga. Artykuły któreś przysłał, są bardzo dobre, tylko odkryłam w nich, z wielkiem mojem zdziwieniem, tendencyą... jakżeby tu powiedzieć? gonienia za wyobraźnią, za stylem; są tam krajobrazy... dygressye... nawet wiersze... (z bolesnym wyrzutem) wiersze Alfreda de Musset, moje dziecko!

Księżna. Tak. Rzecz stała się przez to zajmującą, a tego trzeba ci się strzedz.

Pani de Céran. Księżna żartuje, ale ja powtarzam ci mój przyjacielu, wystrzegaj się poezyi, proszę cię... Ponieważ pracujesz w materyi poważnej, bądźże poważny.

Roger. Nie sądziłem jednak, mamo... Po czemże więc poznaje się że artykuł jaki jest poważny?

Księżna (wskazując na leżącą na stole broszurę). Po tem, że nie jest wcale przecięty.

Pani de Céran. Twoja ciotka przesadza, ale wierzaj mi, uciekaj od poezyi. A teraz wiedz, obiadujemy o szóstej. Masz napisać sprawozdanie o tumuli i godzinę przed sobą. Nie zatrzymuję cię dłużej, idź do roboty, idź!

Księżna Chwileczkę!... Teraz, skoro już skończyły się wasze wynurzenia wzajemne, mówmy o interesach, jeżeli łaska. A Zuzanna?

Roger. Ach moja droga mała, gdzież ona?

Księżna. Na odczycie o literaturach porównawczych.

Roger. Zuzanna?

Księżna. Tak... na odczycie pana Bellaca.

Roger. Bellaca?... co to jest Bellac?

Księżna. Grzybek tej zimy modny, uczony, dworujący damom i otoczony ich dworem, przez nie też popychany naprzód. Księżna Okoliczew, która zajęta nim do szału, tak jak zwykle nasze stare, urządziła dla niego dwa razy na tydzień w swoim salonie odczyt, w którym literatura jest pozorem a świegotanie głównym celem. Otóż, twoja pupilla widząc najarystokratyczniejsze samiczki oszołomione geniuszem tego Vadiusa, młodego, nadskakującego, a wymownego, poszła zdaje się za ich przykładem.

Pani de Céran. Niepotrzebnie mówisz o tem księżno...

Księżna. Przepraszam, jest jej opiekunem, powinien wszystko wiedzieć.

Roger. Lecz cóż to ma znaczyć, moja ciotko?

Księżna. To, że Zuzanna zakochała się w tym jegomości... Pojmujecie?

Roger. Zuzanna! zkądże! ten dzieciak swywolny!

Księżna. Tak, ona. Niepotrzeba wiele takim dzieciakom, ażeby się przerodzić w kobietę... wiesz o tem dobrze.

Roger. Zuzanna?

Księżna. Przynajmniej tak twoja matka utrzymuje.

Pani de Céran. Ja utrzymuję, że ta... panienka ugania się widocznie za względami tego męża, za poważnego na to, ażeby się nią bawił, i utrzymuję, że w domu moim ta awantura która dotąd jest dopiero nieprzyzwoitą, nie powinna dojść do skandalu.

Księżna (do Rogera). Słyszysz?

Roger. Wprawiasz mnie mamo w najwyższe zdziwienie. Zuzanna, dziewczę, które odjeżdżając zostawiłem w krótkiej sukience, wdrapującą się na drzewa; swywolnica, której zadawałem wypracowania, huśtałem na kolanach, która mnie nazywała: papą... Nie, nie, to niemożliwe... zepsucie tak przedwczesne...

Księżna. Zepsucie? dlatego że go kocha? Widzę żeś ty prawdziwym synem twej matki... A co się tyczy przedwczesności, pamiętam, że w jej wieku serce moje już przemówiło... do huzara, kolor niebieski i srebro, śliczny, pyszny huzar! Głupi był jak jego własna szabla, ale mój Boże! w tym wieku!... serce młode, to jak dom nowy w którym tynk opada, lecz nie na zagospodarowanych już lokatorów... Zatem, zdaje mi się, że Bellac... jest to nieprawdopodobne, lubo młode dziewczęta... nie trzeba im w tej mierze ufać. (Na stronie.) Ani słówka sama temu nie wierzę, ale to podrażni. (Głośno.) I oto przyczyna, dla której odłożysz teraz na bok twoje *tumuli* a zajmiesz się nią, wyłącznie nią.

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki

w zastosowaniu do przemysłu.

(Dalszy ciąg.)

Od zbroi i uzbrojeń przechodzimy do pasów, które tak nierozerwalnie złączyły się z naszemi narodowemi tradycyami.

Główne rozwielmożnienie się u nas pasów nastąpiło w XVII wieku, a mianowicie od roku 1663, gdy Jan Sobieski po zwycięztwie nad Turkami pod Wiedniem, rozpowszechnił ich używanie do polskiego stroju. W tym także mniej więcej czasie delje i żupany ustąpiły przed kontuszem. Lecz odnosi się to głównie do pasów litych, gdyż jedwabne, metalowe i skórzane, mniej lub więcej kosztowne i ozdobne dawno już były noszone. Ubożsi poprzestawali na wyrobach domowych, bogacze sprowadzali kosztowne z Persyi i Turcyi. Dopiero w XVIII-m stuleciu, gdy zbytek zaczął szerzyć się coraz więcej, każdy niemal szlachcic, starał się koniecznie mieć choć jeden pas lity, choćby z uszczerbkiem szczupłej nieraz fortuny. Wtedy też powstały u nas fabryki zajmujące się wyrobem pasów.

Najznakomitszą była fabryka w Słucku, założona przez księcia Hieronima Radziwiłła. Z początku kierowali nią Turcy i Persowie, gdyż w kraju nie było odpowiednio uzdolnionych pracowników, później zarządzał nią niejaki Jan Mażarski. Ten w którejś wojnie został wzięty do niewoli tureckiej, a po różnych kolejach losu, dostał się nareszcie do fabryki pasów, gdzie się obznajmił ze sposobem ich wyrabiania. Gdy powrócił do kraju, książę Radziwiłł dał mu odpowiedni fundusz i wysłał do Turcyi już jako podróżnika, aby przy pomocy pieniędzy zbadał wszelkie tajniki wschodniego tkactwa, a gdy powrócił, oddał mu w dzierżawę swoją fabrykę słucką. Objąwszy ją Mażarski, sprowadził z Turcyi potrzebne przyrządy, przysposobił zdolnych robotników z krajowców i wyrabiał tak piękne pasy, iż mogły współzawodniczyć z wyrobami wschodniemi. Rocznie fabryka produkowała po pareset pasów, od kilku do kilkudziesięciu dukatów za jeden.

Na wystawie jest aż kilkanaście okazów z tej fabryki, oznaczone znakiem: *Factus est Sluciae*, *Me fecit Sluciae*, lub tylko *F. S.*, są najcelniejsze. Są to tkaniny na jedwabiu przerabiane złotem lub srebrem. Między innemi piękny i bardzo dobrze zachowany jest pas, z każdej strony na dwie części przedzielony, a więc cztery zmiany przedstawiający w złożeniu; tło złote i szafirowe w półksiężyce i drobne kwiatki. Pasy słuckie wyrabiane w naszem stuleciu, ze znakiem: *Słuckie w gradie*, nie dorównywają pierwszym.

Jakób Jakóbowicz Paschalis, ormianin pochodzący z Azyi, założył fabrykę w Lipkowie pod Warszawą, której wyroby nie ustępują słuckim. Pasy te noszą napis: *J. P. Paschalis;* albo *baranka z chorągwią*, to jest herb fabrykanta, któremu Stanisław August nadał szlachectwo. I z tej fabryki jest na wystawie pas bardzo bogaty, z napisem: *Paschalis*. Przedzielony z każdej strony na dwie części, zatem po złożeniu jest srebrny, szafirowy, czarny lub pąsowy; deseń w listki połączone arabeskami.

W Krakowie były dwie fabryki: Chmielewskiego i Masłowskiego. Wyroby pierwszej mają wyrobiony napis *D. Chmielewski* i literę *K.* oznaczającą Kraków. Tkaniny te prawie dorównywały wyrobom słuckim i lipkowskim. Jak wszystkie podobne, łącza w sobie cechę wschodnią z europejską, i także jak wszystkie mają podobne i w jednym rodzaju desenie, dowodzące, że wszystkim fabrykom zbywało na dobrych rysownikach, obdarzonych pomysłowością i twórczością.

Obok wyliczonych fabryk pasów wyrabiano materye lite i jedwabne, przerabiane srebrem lub złotem, albo też bogato haftowane.

Na wystawie widzimy razem sześćdziesiąt kilka pasów. Hr. L. Krasiński przedstawił 11 litych i tkanych; hr. Fr. Pusłowski 15, po większej części litych, jeden złotem, inne srebrem, i jedwabne różnych barw, przeważnie fabryki słuckiej.

Bogaty w zabytki przeszłości naszej p. J. Strzałecki, przedstawił 12 pasów jedwabnych i litych różnych fabryk z końca XVII i XVIII wieku.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Sierpnia 1881 roku.

Z końcem lipca wytworny świat paryzki przeniósł się na morskie wybrzeża; przez cały też miesiąc lipiec wielkie magazyny paryzkie przesadzały się w wystawie kostiumów, przeznaczonych na letnie wycieczki. Najwięcej przypadły nam do smaku śliczne kostiumy z magazynu Petit St. Thomas. Wiadomo, że ten magazyn, położony wśród arystokratycznego przedmieścia *St. Germain*, dostarcza strojów wielkim paniom paryzkim; odznacza się też wielką prostotą połączoną z wytwornym gustem.

Przytaczamy tu cały szereg kostiumów, przygotowanych tak na ranne przechadzki, jak na południowe wizyty — i wieczorne zebrania. Zaczynamy od najskromniejszych.

Na rano: kostium z lekkiej tkaniny wełnianej, w kolorze popielato-szarawym *(vieu mur)*; spódniczka ułożona cała w zaprasowane fałdy, poniżej stanika przepasana plisowaną draperyą szeroką na pół łokcia, spojoną w tyle wielką kokardą z tegoż samego materyału. Stanik długi, w rodzaju żakietki, spięty na rzęd oksydowanych guzików, z wielkim kołnierzem. Do takiego kostiumu najwłaściwszy kołnierzyk gładki płócienny, z odwiniętemi rożkami, podwiązany wązką krawatką w kolorze ciemno pąsowym lub szafirowym. Kapelusz z grubej słomy w trzech kolorach: naturalnym, ciemno szafirowym i ciemno pąsowym, spuszczony na czoło i po bokach, podniesiony w tyle, przybrany pęczkiem bławatków i pąsowych makówek. Rękawiczki z nici szkockich, koloru sukni, pończoszki szafirowe lub ciemno pąsowe — trzewiki z kokardą ujętą w oksydowaną sprzączkę. Parasolik szary fularowy.

Na rano: widzimy też ładne spódniczki z długiemi paletotami, zwane *matinée*, noszą je z perkaliku pompadour w drobny perski deseń, z fularu lub wełnianej tkaniny. Takie kostiumy służą wyłącznie dla mężatek. Perkalikowe obszywają wkoło białą lub czarną koronką — z przodu odwracaną *(en coquille)*. Wzdłuż przodu z pomiędzy koronki wybiegają kokardy z wstążki w odpowiednim kolorze. Spódniczka ma u dołu parę szerokich wolantów, zapełniających całą przestrzeń od ziemi do końca paletotu. Uważaliśmy między innemi, ładny kostium tego rodzaju, z tkaniny wełnianej koloru *havana*. Wolant u spódnicy obłożony był szeroko tkaniną *viel-or*, w perski deseń, nad wolantem szła takaż woda, kilka razy przemarszczona. Paletot objęty takąż plisą, ogarnirowany był oprócz tego błądyną koloru *viel-or*, szeroką na trzy cale. Wzdłuż przodu równie jak na kieszeniach i rękawach dane były atłasowe kokardy tegoż koloru. Dopełniał kostiumu kapelusik słomkowy, *Havana*, ubrany materyą surah i błądyną w złotawym kolorze.

Przejdźmy teraz do kostiumów wizytowych — z pomiędzy tych bardzo nam się podobał zielonkowato-popielaty, z fularu surah. Pierwsza spódniczka cała ułożona w głębokie fałdy: na to druga, przymarszczona kilka razy w górze, tworzy krótszą tunikę, sięgającą do kolan, z tyłu podpięta fantastycznie. Przód tuniki znacznie przedłużony, odwraca się do prawego boku. Odwrócony ten bryt, sięgający aż do stanika, podbity jest fularem surah w blado lilla kolorze, w drobniuchną czarną kratkę, z obu stron objęty koronką białą. Stanik do tego gładki, ma długi bawet z przodu, plecy również zakończone bawetem. Rękawy lekko bufowane sięgają tylko do łokcia. U szyi spada krawat koronkowy, rękawy zakończone takimże wolantem. Dopełnia ubrania kapelusz ryżowy *Van Dyck*, odwrócony z lewego boku, podpięty pękiem piór strusich czarnych i lilla.

Inny kostium na wizyty lub koncert, składał się ze spódniczki *surah* koloru brązowego, zagarnirowany aż do stanika takiemiż falbankami, przeplatanemi białą namarszczaną koronką. Na to rzucona była fantastyczna draperya z tegoż samego fularu — objęta koronkowym wolancikiem. Stanik bardzo długi, z dwoma bawetami, cały przymarszczony z przodu, wygarnirowany koronką. Kapelusz słomkowy koloru Hawana, przybrany bukietem róż w bladych odcieniach, ślicznie odpowiada całości tego letniego stroju.

Na wieczór przyjęte powszechnie suknie z błądyny czarnej. Pod spód idzie zwykle spódniczka czarna atłasowa, a niekiedy morowa, ogarnirowana błądyną. Stanik wycięty czworograniasto, długi z bawetami — zwykle bywa z atłasu albo mory.

Uważaliśmy też nowy rodzaj sukien szarych koronkowych, z cieniuchnego szpagatu. Spodniczka taka daje się na podwleczeniu z atłasu błękitnego, ciemno pąsowego, lub różowego w odcieniu koralowym. Stanik zwykle atłasowy w odpowiednim kolorze, wygarnirowany takąż koronką.

Śliczna suknia wieczorowa zwróciła jeszcze uwagę naszą. Spódniczka do ziemi z blado błękitnego fularu *surah*, przybrana była trzema wolantami. Na to od stanu spadały w koło zęby, a raczej szpiczaste języki z fularu pompadour na tle błękitnem. Stanik długi, zachodzący na biodra, wycięty był u dołu w takież szpiczaste zęby. Z pod owych zębów wychodziła w koło buffa z gładkiego fularu. Na wykroju w górze stanika dane były podobne zęby, podgarnirowane plisowaną falbanką błękitną. Bardzo to ładnie i oryginalnie wyglądało.

Kapelusze czarne błądynowe ciągle się utrzymują, szerokie szarfy błądynowe lekko spięte lub przerzucone na piersiach, nadają im kształt hiszpańskiej mantyli: zdobią je zwykle różami w rozmaitych odcieniach. Słomkowe kapelusze ubierają czarną błądyną lub białą koronką, i wieńcem z mięszanych kwiatów polnych. Pęki piór służą głównie do okrągłych kapeluszy, z szerokiem podniesieniem na boku rondem. Ukazał się także nowy rodzaj kapotek zwanych *Recamier;* robią je zwykle z błądyny czarnej; główka u nich podniesiona ma formę wiekiego grzebienia, przód cały upięty kwiatami, szeroki karczek spada na warkocz — szarfy błądynowe spinają się odpowiednim bukieciekiem.

Okrywki czarne błądynowe, przy teraźniejszych upałach wielkiej używają wziętości: forma ich bardzo rozmaita, zaczęwszy od małych chusteczek

sięgających ledwie do stanu — do wielkich wizytek przechodzących poniżej kolan. Na chłodne wieczory przyjęte mantylki z czarnej siatki sznelowej, objęte frendzlą z dżetem.

Z KWESTYJ BIEŻĄCYCH.

Było to roku pańskiego 1655 w miesiącu lipcu, gdy Kapłan pasza z Selimem Gorejem i Doroszeńką wtargnęli do Polski; — nie przestraszajcie się łaskawe czytelniczki tą datą i początkiem, wszak są autorzy, którzy rozpoczynają swe artykuły od uspołecznienia narodów, a biblia zaczyna od stworzenia, a jednak czytujecie—więc wolno i mnie kronikarzowi rozpocząć chociażby od r. 1655, albo już lepiej od r. 1648, gdy Chmielnicki napadł z swą czernią i Tatarami Polskę; — otóż począwszy od owych pamiętnych dat, kozacy i zbrojne tłumy chłopstwa miały zawsze wilczy apetyt na największą ozdobę i chlubę naszych miast i miasteczek, na lud, który zdaniem kozaków „śmierdzi i bogaci się kosztem krwi chrześciańskiej”, jednem słowem na żydów, których kronikarz Zimorowicz „arrabonami” lub też „śmierdzącymi obszarpańcami” nazywa. Zaś w Krakowie, Warszawie, Poznaniu etc. żaki i pospólstwo korzystali z lada okoliczności, chcąc zmusić „braci mojżeszowych” do szukania nowych siedzib i ojczyzny. Lecz poważni mężowie, sławetni rajcy miast, aczkolwiek nie cierpieli wyznawców Jehowy, jednakowoż z obawy przed Królem Jegomością, Senatem i Sejmem zasłaniali własną piersią żydów. Snać przeczuwali wystąpienie pana Jeleńskiego, któryby nie miał pełnego tytułu do czwartego wydania broszury „My, Niemcy i Żydzi”, i szanowny kronikarz „Niwy” nie mógłby wołać Jeremiaszowym głosem nad „talami, bergami, sonami, wandami i t. d.” którzy zastępują *nieobecnych*, i nie mielibyśmy „kwestyi żydowskiej” ani pięknych powieści Orzeszkowej — jednem słowem źleby było.

Ale to, co się nie udało nożem, kamieniem i inną bronią sieczną lub palną, to chcą wprowadzić w życie i praktykę na drodze pokojowej. Oto w Londynie zawiązało się towarzystwo „Anglo-Israel Society”, które chce wygnańcom wrócić kraj rodzinny — Palestynę. Święty Panie! dają im ojczyznę, mówiąc do nich: oto ziemia ojców waszych, zlaną krwią i potem pradziadów, tu są fundusze — wracajcie, a oni — niechętnie, chyba starcy, którzy pragną umrzeć, lub bardzo biedni, wracają w rodzinne progi. Inni znów żydzi zawiązali po ostatnich wypadkach w Rosyi spółkę celem zakupienia ziemi na rolną osadę w Ameryce — dają im wolność, i znów żydzi odwracają się — ha, widać dobrze się im u nas dzieje, bowiem my i Austrya jesteśmy tym błogosławionym krajem, który dla nich mlekiem i miodem płynie. Albożim tu źle?— ot np. w Kielcach jest ochotnicza straż ogniowa, i zgadnijcie szanowne czytelniczki, ilu żydów opłaca wkładkę — *czterech!* na miasto, którego przynajmniej połowa jest żydowską.

Skarżyłem się na te objawy niezwykłej solidarności pewnemu znajomemu żydowi-polakowi, a ten zamiast odpowiedzi, wręczył mi na drugi dzień przy spotkaniu paczkę gazet. Jedną połowę hebrajską nie zrozumiałem, natomiast drugą polską w czasopiśmie żydowskiem, wychodzącem we Lwowie, wybornie pojąłem, a zwłaszcza ustęp o szkołach (który „Wiek” cytuje):

„Smutnej sławy doszli Izraelici brodzcy niesłusznem swem postępowaniem wobec ogółu ludności krajowej, zajmując, ku głębokiemu smutkowi sprawiedliwie myślących współwyznawców swych, stanowisko odrębne a złowrogie, przyznając się do tej narodowości, która dziś w tak haniebny sposób odwdzięczyła się za tylowiekowe jawne i ukryte sympatye Izraelitów. Burza, która zawyła na niwach niemieckich a w grodach rosyjskich tak okropny znalazła odgłos, czyż nie była widocznym znakiem Opatrzności, która już nie palcem codziennych zdarzeń, ale ognistym krwawych prześladowań mieczem wskazuje Izraelitom, kędy zwrócić się mają? A jednak nie zdoła wszystkich współwyznawców naszych wyrwać z nieszczęsnego omamienia, które ich ogarnęło, trudno im opuścić bożyszcza, na ołtarzu którego lat tyle skadali w ofierze potomstwo swe i mienie. Wzrok ich zwrócony ciągle jeszcze wstecz, nie widzi, co przed nimi na wiosennej niwie życia, budzi się i roi wdziękiem wiosennym. Oto zradzają się czasy nowe, piękniejsze, czasy ducha wznioślejszego, kędy sprawiedliwość roztacza jasne swe kręgi wśród Izraela, a miłość ojczyzny opromienia i uszlachetnia podupadły dom Jakóba. Wierzajcie nam, bracia, że przyszłość nie będzie znała u nas Izraelitów niemieckich, że przyszłość światło patryotyzmu rozniesie wszędy pomiędzy naszych braci, a ci, którzy po nas żyć będą, nie będą już mówili ani żargonem, ani po niemiecku, lecz językiem polskim, nie będą ani niemcami ani kosmopolitami, ale szczerymi i z całego serca polakami!...

„Uczyńmy krok, który obfitemi odwdzięczy się nam plonami. Urządźmy polskie szkoły wyznaniowe dla dziatwy naszej, która wtedy nie będzie cierpiała wskutek politycznych naszych przekonań. Wszak musimy się połączyć z współobywatelami, czyż godzi się utrudniać to dzieło? Uczyńmy ten krok, a błogosławieństwo spłynie na nas i na potomków naszych, szczęście i pokój zamieszkają wśród Izraela i kraju.”

Może to trochę przydługa cytata, ależ bo tak poczciwie tak serdecznie napisana, że aż się serce raduje — otóż jest jedyna droga do rozwiązania kwestyi żydowskiej — nauka, wspólność języka i narodowości, tedy nie nienawiścią, nie tępieniem, lecz miłością i wiedzą kroczyć należy a inne czasy, lepsze, szczęśliwsze nastaną!

Za przykładem Warszawy, nasze miasta prowincyonalne zaczynają myśléć o założeniu kasy pożyczkowej dla rzemieślników, a o ile nam wiadomo, Kielce powzięły ten projekt, chcąc skorzystać z kapitału posiadanego przez tameczną straż ogniową ochotniczą w ten sposób, by członkowie straży mieli pierwszeństwo w otrzymaniu pożyczki Jeśli uwzględnimy, że nieodzownie potrzebny kredyt dla naszych rękodzielników, jest bardzo drogi i utrudniony, a od pożyczek na zastaw płaci się żydom po dwadzieścia groszy od rubla za jeden tydzień, czyli 520 procent rocznie — to zrozumiéć łatwo jak doniosłą jest instytucya kas pożyczkowo-zaliczkowych i jak śpiesznej wymaga decyzyi. Promotorowie takiej kasy w Kielcach mają zamiar pomnożyć fundusze zakładowe już ogłoszonym koncertem amatorskim i szeregiem przedstawień amatorskich na jesień zapowiedzianych. Serdeczne życzenia powodzenia zasyłamy obywatelom Kielc, oby się tylko ziściły!

Wiadomo sz. czytelniczkom, że Jan Kochanowski doczeka się jubileuszowego wydania swych dzieł w r. 1884; komitet funkcyonuje już od roku i mamy niepłonną nadzieję, że wydanie będzie godne Jana z Czarnolasu, zupełne i pokaźne. W skład komitetu wchodzi i p. Tadeusz Włoszek, który w „Tygodniku Illustrowanym” podał projekt równoczesnego wydania dzieł muzycznych Gomółki. Jego melodye do psalmów Kochanowskiego poznała warszawska publiczność na koncercie historycznym, zaś „Echo Muzyczne” umieściło zeszłego roku monografią tegoż muzyka polskiego — wydanie jego dzieł przez dzisiejszych naszych muzyków, uważamy za rzecz nietylko godną pamięci tego artysty, ale również jako uzupełnienie dzieł Kochanowskiego. Czy projekt ten zostanie przyjęty i w życie wprowadzony, jak na to zasługuje? zależy to od dzisiejszych przedstawicieli polskiej muzyki.

Przyrzekłem wam łaskawe czytelniczki przedstawić się.

Otóż jestem kawalerem! Zdziwiłyście się zapewne, gdyż jestem przekonany, iż pielęgnujecie statystykę, która wykazuje, że na 10,000 mieszkańców w Europie przypadają w pojedyńczych krajach następujące liczby osób zamężnych lub żonatych: w Węgrzech 6,475, we Francyi, mimo osławionych teściowych 5,566, w Anglii 5,498, w Austryi 5,271, we Włoszech 5,270, w Danii 5,191, w Niemczech 5,167, w Norwegii 3,065 a u nas i w Rossyi 1,530. Ta mała liczba małżeństw jest powodem, że ludzie młodzi, jako tako od natury i przez mamonę wyposażeni, są celem ścisłych poszukiwań, bowiem liczba kobiet niezamężnych wzrasta olbrzymio. Że moja osoba pozostała dotychczas kawalerem, nie sądźcie, abym ja był już tak bardzo upośledzony lub bym nie był czuły na wdzięki piękności, a pięknych nie brak, tak przynajmniej utrzymuje mój wydawca, dla którego każda prenumeratorka jest piękną, miłą, dobrą, zacną, a ja z różnych ubocznych względów wtóruję mu i nie szczędzę pochwał. Inna jest bowiem przyczyna, oto mam — ciotkę wdowę! Ile razy przyjdę do niej, zawsze wysłucham całej jeremiady jej nieszczęść: stłukła się sklanka — nie stłukłaby się, gdyby żył mój mąż nieboszczyk (nie mój — lecz ciotki), spadły ruble, niezapłacone komorne w czasie należytym, nie ukłonił się znajomy, pali się źle lampa — wszystkie takie i podobne nieszczęścia nie miałyby miejsca — gdyby żył nieboszczyk mąż! Młody umysł — to istna gąbka. Tedy ja słysząc o tych wszystkich obowiązkach i powinnościach męża, powziąłem tak wielkie wyobrażenie o jego odpowiedzialności w doczesnem życiu, a koniecznej interwencyi w pośmiertnem, że nie czuję się na siłach im sprostać. Sądzę, że ta moja skromność łaskawie usposobi was dla mnie, szanowne czytelniczki.

Taż sama ciotka, gdy wpadnie wraz ze swemi przyjaciółkami na temat niegodziwości dzisiejszych sług, wówczas przepadło wszystko; nietylko nieboszczyka męża wzywa na świadka, ale wszystkich świętych i Pana Boga, a przyjaciółki wtorują jej unisono, tylko ja milczę dyplomatycznie, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. Otóż pewnego pięknego popołudnia, przychodzę do mojej ciotki, zastaję kilka pań zajętych rozmową i co chwila słyszę: „będzie lepiej”, „szczęśliwa myśl”, „zacna kobieta”. Nie rozumiałem z tego nic a nic, aż dopiero po długiej rozmowie z przeszkodami dowiedziałem się, że powstał projekt: „stowarzyszenia służących”, polegający na tem, że każda dobrze prowadząca się służąca, za nader nizką opłatą może należéć do stowarzyszenia, po pięciu latach dobrej służby, ma prawo do pożyczki, a jeśliby na starość nie mogła pracować, znajdzie podporę i utrzymanie w założonem towarzystwie i w domu przytułku w tym celu wybudować się mającym. Stowarzyszone będą miały nawet rodzaj resursy, w której przyzwoicie będą się mogły zabawić. Źle prowa-

dzące się, nieposłuszne, krnąbrne etc. mogą być wykluczone. Projekt ten zyskał aprobatę mej ciotki i jej przyjaciółek i od owej chwili mniej już rozprawiają te panie o sługach — za co niewymownie wdzięczny jestem pani Emilii Dębskiej, głównej promotorce stowarzyszenia służących.

Ale żart na bok — „Towarzystwo przyjaciół sług” ma na celu polepszenie stosunku pomiędzy chlebodawcą a służbą, zamierza tedy otworzyć własny kantor stręczenia sług, przygotowywać służbę specyalną, jak: piastunki, kucharki, praczki, pokojówki i t. d., sługi niemające miejsca znajdą przytułek w lokalu Towarzystwa, gdzie mogą odbywać się zabawy i lekcye; otworzenie kasy przezorności, wzajemnej pomocy i oszczędności. Wkładka roczna wynosi rubli 3, rocznie lub jednorazowo rs. 50, członkowie-protektorowie płacą rocznie rs. 25 zaś honorowi nic nie płacą. Jeśli projekt ten wejdzie w życie, nasze panie doznają wielkiej ulgi, bowiem należenie do Towarzystwa jest niejako rękojmią dobroci służących i może choć w części zostaną usunięte te nadużycia, jakich doznają nasze dobre gosposie.

W Krakowie zaprzestał wychodzić dwutygodnik „Muzeum”, dla braku czytających; jest to bardzo smutny objaw, z którym często w Galicyi przychodzi się spotkać — dziwna apatya zapanowała nad umysłami w Galicyi, oto weźmy statystyczne cyfry do pomocy. Szkół ludowych z językiem wykładowym polskim istnieje obecnie 1,153, z językiem rusińskim 1,645, z językiem niemieckim 45, zaś w stosunku do ludności na 100 szkółek rusińskich powinno być 133 polskich. Rusini rozwinęli w ostatnich czasach olbrzymią propagandę wśród ludu i nic nie mielibyśmy przeciwko temu, ale wpływ tej propagandy jest często ujemny, waśniący nas z Rusinami — Polacy natomiast, mając w swym ręku daleko więcej środków, opuszczają bezradnie ręce i czekają fatalistycznie końca.

W tych czasach odbywają się w Krakowie dwa zjazdy: pedagogiczny i przyrodniczy,—ten ostatni połączony z obchodem jubileuszu D-ra Majera, prezesa Akademii Umiejętności. Dziś niepodobna nam dać sprawozdania, ale pozwólcie łaskawe czytelniczki, że zacytuję wiersz toastowy p. Onyszkiewicza, wypowiedziany na uczcie pedagogów:

Tu gdzie Wanda nasza leży,
Co nie chciała Ritigera;
Tu gdzie człowiek w to spoziera,
Co ukochał i w co wierzy,
Wśród tych murów, gdzie co kątek,
Pełno drogich jest pamiątek —
Wawel stoi wciąż na skale,
U stóp jego płynie Wisła,
Bo ją przyjaźń wiąże ścisła —
Tu uczuwam się w zapale,
Gną się mimochcąc kolana,
I głos z piersi się wyrywa,
Matko nasza ukochana!

Słowo „matko”, święte słowo,
Wciąż melodyą dźwięczy nową,
Zachwyca nas i porywa;
Choć kto poszedł drogą śliską,
Choć kto upadł bardzo nizko,
Kwiat uczucia sponiewierał,
Zdeptał prawdę i ideał,
Choć się śliną węża upił
I jak ślimak zaskorupił —
Na wspomnienie matki przecie,
Łza mu jeszcze w oczach stanie,
Ujrzy się samotny w świecie,
Kurcz mu zdławi w gardle łkanie.

Duszą rodzin, sercem całem,
Są to matki z włosem białym,
Te anioły, choć bez skrzydeł,
U ogniska domowego,
Co nas strzegą ode złego,
Od pokusy i od sideł —
Szczepią wiarę, toć panowie,
Wnoszę matek naszych zdrowie!

Cała nasza redakcya łączy się z wniesionym toastem na cześć „matek”, nie wyłączając naturalnie i waszego sługi

Wojciecha Lubicza.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Z początku b. r. zaczęło wychodzić u nas nader starannie redagowane pismo p. w. *Przegląd biblijograficzno - archeologiczny*, którego redaktorem i wydawcą zarazem jest p. Cezary Wilanowski. Oprócz bardzo zajmujących artykułów o zabytkach naszej przeszłości, „Przegląd” nie pomija nic odnoszącego się do najnowszych poszukiwań i odkryć w świecie archeologii, a co się tyczy naszych zabytków, każdy pieniążek, każdy grobowiec, każda ruina zagrożona zniszczeniem gorliwego w nim znajdują obrońcę. W zeszycie 12-m mieści się nader zajmujący artykuł p. Jana Słotwińskiego o „Zabytkach polskich w zbiorach „Orużejnoj Pałaty” w Moskwie”, jednem z najznakomitszych muzeów rosyjskich. Podajemy z niego niektóre ustępy.

Moskwa przechowała wiele pamiątek z przeszłości; a Kreml pod tym względem pierwsze zajmuje miejsce. W nim dotąd koronują się monarchowie, i tam zrodziły się wielkie wypadki dziejowe Rossyi; dla nas nader zajmującą jest „Orużejnaja Pałata” i zgromadzone w niej polskie zabytki. Gmach ten został założony w r. 1810 w Kremlu, z rozkazu cesarza Alexandra I,—jest to skład państwowych pamiątek, kosztowności i osobliwości, zdobyczy, podarunków monarszych itp. Dwie sale Pałaty, jedna na piętrze, druga na dole, przeważnie polski mają charakter: są to trofea silniejszego na polu polskiem zdobyte. Chromolitograficzne publikacye „Orużejnoj Pałaty” wymieniają dużo polskich pamiątek, ale dzieło to bardzo mało komu dostępne z powodu wysokiej ceny; p. J. Sł. podaje z niej wykaz ważniejszych przedmiotów.

Tuż obok „Orużejnoj Pałaty” znajduje się wielki Kremlowski Dworzec, a w nim godna uwagi galerya obrazów pędzla Baciarelli'ego. Są to olbrzymie, przeszło sążeń wysokie malowidła, następującej treści:

1. Nadanie przez Kazimierza Wielkiego prawa zwanego Statutem Wiślickim. 2. Założenie Akademii Krakowskiej przez Władysława Jagiełłę w 1402 r. 3. Przysięga chełmińskiego wojewody Gabryela Wzajena, na poddaństwo królowi polskiemu Kazimierzowi Jagiellończykowi, w imieniu narodu pruskiego w 1466 roku. 4. Połączenie Litwy z Polską na sejmie lubelskim, za Zygmunta Augusta w 1569 roku. 5. Oswobodzenie Wiednia przez Jana Sobieskiego w 1683 roku. 6. Lanckoroński, następca hetmana Chodkiewicza, zawiera przymierze z Turkami w Chocimie wobec królewicza Władysława w 1621 roku, za panowania Zygmunta III.

Jak powiedzieliśmy wyżej, podaliśmy tylko niektóre z wymienionych przez p. J. Słotwińskiego zabytków. W końcu swego nader ciekawego artykułu zwraca on jeszcze uwagę rodaków na nader ważną instytucyę, jaką jest Mosk. Główne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Biblioteka ta posiada 28,000 numerów, z których 1650 przypada na same rękopisma w różnych językach wszechświata. Pomiędzy niemi jest wiele nader ważnych w języku polskim, odnoszących się do naszych dziejów.

Pojąć trudno, dlaczego pierwsze to i jedyne u nas w swoim rodzaju pismo, tak potrzebne i odpowiadające swemu zadaniu, nie znalazło poparcia do tego stopnia, iż miało już przestać wychodzić. Tylko co zamknięta Wystawa Starożytności dowodzi, że nie brak u nas miłośników zabytków przeszłości, gdybyż tylko właściciele przedstawionych okazów prenumerowali „Przegląd biblijograficzno-archeologiczny”, to już wydawca przynajmniej na znaczne straty narażony by nie był. Z początkiem tego kwartału przestało wychodzić inne bardzo dobrze redagowane i także jedyne u nas w tym rodzaju pismo „Przyroda i Przemysł” — teraz, gdyby nie ofiara wydawcy, ten sam los spotkałby „Przegląd bibl.-archeolog.”. Powtarzamy tu kilka wierszy z odezwy jego redakcyi. „Wiemy, że czeka nas ciernista droga — ale jednocześnie wierzymy w to, że społeczeństwo nasze wyleczy się nareszcie z chłodu ku pracy poważnej podnioślejszej natury, a wskutek tego i naszem wydawnictwem żywiej się zainteresuje. Wierzymy w szlachetny instynkt narodu, cokolwiek przygłuszony obecnie błyskotkami i kosmopolityzmem — ta wiara dodaje nam otuchy na przyszłość.” W imieniu dobra poważnej nauki, pragniemy, aby ta wiara zawiedzioną nie została.

+ W listach swoich z Ameryki p. Sygurd Wiśniowski podaje kilka zajmujących szczegółów o wycieczce kolonii polskiej z Nowego-Yorku i okolicy do West-Point, twierdzy założonej przez Kościuszkę, jaka miała miejsce dnia 30 maja r. b. Myśl tej pielgrzymki wyszła od kapelana słynnej amerykańskiej akademii wojskowej, a powstała w jego umyśle podczas odwiedzin pewnego rodaka Kościuszki. Miała ona nastąpić jeszcze w roku zeszłym jako w setną rocznicę wyjazdu Kościuszki z West Point, ale różne okoliczności zniewoliły do odroczenia pielgrzymki aż do b. r.

Dzień 30 maja jest narodowem świętem amerykanów, zwanem *Decoration Day*, poświęconem wieńczeniu pomników bohaterów. Jenerał Hovard, piąty po Grancie dostojnik w wojskowej hierarchii amerykańskiej, okryty chwałą na polach bitew podczas wojny domowej i zajmujący ważne stanowisko wojennego gubernatora w West-Point, przy tej sposobności objawił życzenie, ażeby oddziały gwardyi narodowej polsko-amerykańskiej przyjęły udział w stuletnim obchodzie zdobycia York Townu i pojmania w niewolę armii Cornwalisa, mającym się odbyć w r. 1883. Tegoroczna wycieczka dała także powód do zebrania dość znacznego funduszu na założenie przytułku w Nowym Yorku dla ubogich wychodźców polskich.

+ W korespondencyi z Drezna do jednego z pism galicyjskich czytamy: Przy wyborach do saskiego sejmu krajowego, w jednym z okręgów wiejskich wyborczych w Łużycach, wystąpił po raz pierwszy jako kandydat, włościanin Karol Lisak, a komitet zajmujący się jego wyborem, wydał

odezwę do ludu Łużyckiego, w której powiedziano jest między innemi:

„Wend nie jest stworzeniem, któremuby na ziemi żadne nie przysługiwało prawo, i dobrze jest, że choć raz wystąpi samodzielnie, nie zważając na to czy Niemcy będą z tego zadowolnieni czy nie... Cudzoziemcy niech idą żebrać u siebie, my, Wendzi, jesteśmy na własnej ziemi.... Dnia 12 lipca odezwiemy się publicznie jak długo tłumiony ogień. W naszych narodowych sprawach możemy porozumieć się nie latając na obczyznę, ani też otwierając oczu wrogom Wendów. Dnia 12 lipca przystąpcie publicznie do urny i oddawajcie głosy wasze bez wszelkiego miłosierdzia. Jak dobrzy aniołowie rzućmy się ze św. Michałem Archaniołem do walki za dobrą sprawę i wybierajmy wszyscy Michała Lisaka!" Lisak wprawdzie pozyskał mniejszą liczbę głosów, ale zasługuje na uwagę to obudzenie się do życia ludu słowiańskiego.

+ Od pewnego czasu goście kąpielowi w Kissingen zabawiają się opowieścią pobudzającą ich do wesołego śmiechu. W tamtejszym zakładzie kąpielowym, na pamiątkę pobytu tam przed dwoma laty nuncyusza papiezkiego monsignora Maselli, zajmowane przez niego pokoje nazwano „pokojami kanoskiemi". Niedawno, nowy pruski minister wyznań chciał wziąć kąpiel w tym zakładzie; kasyer wręczył mu bilet, mówiąc: „Bądź pan łaskaw udać się do pokoi Kanoskich." Niewiedzący o niczem minister oddalił się z wydanym biletem, a zarządzająca zakładem dodała jeszcze: „Niech panu służy na zdrowie."

Wiadomo że Kanossa (Canossa) jest to miasteczko niedaleko Reggio (w byłem Księztwie Modeńskiem), gdzie niegdyś stał zamek obronny, leżący dziś w gruzach. W XI-m wieku zamek ten należał do margrabiny toskańskiej Matyldy, i w nim to właśnie w r. 1077 bawił papież Grzegorz VII, gdy cesarz Henryk IV odbywał przed nim na klęczkach ową słynną pokutę na zgładzenie winy za którą ciążyła na nim klątwa. Otóż ks. Bismarck mówiąc kiedyś w Sejmie o nieporozumieniach z Rzymem, powiedział między innemi: „My nie pójdziemy do Canossy." Bawi to więc gości, że tam właśnie wysłano obecnego ministra wyznań.

+ Gazety indyjskie zawiadamiają, iż jeszcze w tym miesiącu odbędzie się ślub następcy tronu abisyńskiego, z córką króla Szoi, Menelika, wasala Jana, króla abissyńskiego. Wesele ma się odbyć w Adui, rezydencyi króla abisyńskiego, dokąd przybędzie narzeczona w towarzystwie rodziców. Pan młody uda się na granicę królestwa z eskortą 1500 rycerzy pancernych, dla powitania narzeczonej i przeprowadzenia jej do Adui. Na tę uroczystość spodziewają się około 12,000 gości, mających zabawić u króla Jana ośm dni, a przez ten czas mieszkać będą w umyślnie dla nich urządzonych namiotach. Wyprawa panny młodej zakupiona jest w Adenie, w niej znajduje się wiele europejskich przyborów toaletowych.

NOWE WYDAWNICTWA.

Marysia Ochocianka, obrazek ludowy przez Ludwika Niemojowskiego, nakładem Józefa Ungra, cena kop. 6. Literatura ludowa coraz się bardziej ożywia: fakt to wielce pocieszający zwłaszcza, gdy do wydawnictw tego rodzaju zabierają się firmy poważniejsze, do jakich liczymy także i pana Ungra. Cena przytem pierwszej tej powiastki tylko sześć kopiejek wynosząca, przekonywa dowodnie, że zysku wydawca nie miał tu na widoku, ale wznioślejszy cel, przysporzenia pożytecznej książeczki dla nowej gromady licznych czytelników, których oby jak najwięcej z pomiędzy ludu przybywało. Zasługa to niemała, początek szczęśliwie zrobiony, można więc mieć niepłonną nadzieję, że książeczka ta chętnie przyjęta przez publiczność, jak na to zasługuje, zachęci szanownego wydawcę do dalszych w tym kierunku wydawnictw.

Powiastka pod tytułem „Marysia Ochocianka", poświęcona jest przedstawieniu skutkom złego wychowania córki przez matkę zaślepioną w swej jedynaczce. Zamiłowanie stroju, próżniactwo, lekkomyślność, zalotność, oto główne wady młodej dziewczyny, które niehamowane niczem, a nawet pobłażane, przez nierozsądną matkę niejako nawet podsycane, doprowadzają jej wychowankę do ostatecznego upadku, do zdrady wierności małżeńskiej do śmierci zrozpaczonego męża, do roztrwonienia całego mienia, wreszcie do rozpicia się, żebractwa i szału pijackiego. A cóż się stało z jej matką?

Stara Ochocina, powiada autor, która postępowaniem swojem przyczyniła się głównie do upadku córki, dręczona zgryzotami sumienia, biedowała łzy gorzkie lejąc, aż w końcu zmarła niepożałowana przez nikogo nawet i przez własne dziecko. Owo bowiem stworzenie tak cackane, pieszczone, teraz nawet o pogrzebie rodzicielki przepomniało leżąc pod płotem, gdy trumnę z prostych desek zbitą wieziono na cmentarz.

Szkoda, że autor ostatniej tej sceny nie udramatyzował, było tu pole niemałe do wykazania całej grozy skutków złego. Całe jednak opowiadanie zaleca się wielce tym przymiotem tak niezbędnym w pracach wszelkich powieściowych. Rozmowy prowadzone są naturalnie, ze znajomością wielką ludu wiejskiego a i z miłością jego niemałą, co jest warunkiem niezbędnym.

Nie każdy z pisarzy tego rodzaju posiada ją. Zmarły Wielogłoski, niegdyś bardzo popularny, ludu, rzec można, że nie nawidził, siekał go ostrą satyrą, wyszydzał niejako, w czytelnikach też obudzał niechęć a nawet nienawiść do siebie, co naturalnie do książki nie zachęcało ale przeciwnie odstręczało. Wprawdzie zapragnął w końcu swego zawodu pisarskiego nadać pracy swej barwę miłości ludu i napisał tomową powieść p. t. „Komornica", ale jakiż to nienaturalny i niesmaczny był utwór, jakże w nim raził brak prawdy i wierności obrazowania. Sienkiewicz w opowiadaniu p. t. „Szkice węglem", okazał się wybornym fotografem ludu, ale tylko strony jego powierzchownej, szorstkiej, brutalnej, i z pod tej powłoki bijącej w oczy wszystkich, wydobywał ludzi z nią jedynie wnętrzem swem moralnem w harmonii zostających. Nic w tem dziwnego: Sienkiewicz, jako pisarz początkujący, nie mógł jeszcze poznać ludzi z gruntu; do poznania człowieka, według utartego przysłowia, zjedzenie z nim beczki soli nie wystarcza, cóż dopiero do poznania całego ludu. Opisywał więc to na co patrzył, co podejrzał siłą swego niepospolitego talentu, może więc wiernie choć jednostronnie lud obrazować, ale pisarzem dla niego nieprędko zostanie.

P. L. Niemojowski zna lud i miłuje go: pojmuje to dobrze że wszystkie wady jakie posiada, nie są wynikiem złej jego natury, ale nieświadomości, braku odpowiedniego wykształcenia. Pisząc też dla niego, nie cecka się z nim, nie prawi mu czułostkowych grzeczności, wytyka wady, karci strofuje, ale w całem opowiadaniu wieje duch tak pożądanej jego miłości, uważanie go za człowieka z tej samej co i my materyi ulepionego. Ważna to rzecz niezmiernie! Oddanie się tej nowej pracy przez pana Niemojowskiego, pochwalamy bardzo: niech jej cały talent swój poświęci, a byle zawsze pilnował w opowiadaniach swych prawdopodobieństwa, zajmie z pewnością ważne stanowisko w dziale tak pożytecznej literatury.

Powieści i szkice obyczajowe przez Ludwika Niemojowskiego, tomów trzy, nakładem Józefa Ungra. Jest to zbiór opowiadań rozlicznej niezmiernie treści, w których autor potroszku, po garstce rozsypał dramatycznego żywiołu, zaciekawienia, satyry, a nawet i pobłysków humoru barwiącego tu i owdzie jego pracę. Wartości jej i sam autor nie przecenia jak to wyraził w przedmowie: wymagania też zbyt przesadzone byłyby tu nie w swojem miejscu, dość gdy opowiadaniami temi potrafi zająć nie cukrując trucizny moralnej naciąganem rozumowaniem. Pod tym względem zarzutu żadnego zrobić nie można temu trzechtomowemu zbiorowi: mogą go czytać wszyscy bez żadnego wyjątku i to stanowi jego stronę bardzo dodatnią. W szczegółowy rozbiór wdawać się niepodobna: w kilkudziesięciu tu pomieszczonych szkicach jedne są mniej, drugie więcej dodatne, o treści mniej lub więcej interesującej. Jest to konieczność, arcydzieła zawsze są rzadkie, tembardziej na kilkunastu mieszczące się kartach.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 21 Іюля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 32 r. 1881.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg.)

— A cóż mnie sąd świata obchodzić może! zawołał Gwidon przerywając babce,—powiedzą żem zawarł niestosowny związek...

— Nie! zawołała margrabina z niewysłowioną goryczą, powiedzą... żeś się sprzedał!

Wypowiedziawszy te straszne słowa, margrabina zachwiała się i padła na fotel. Ze zbladłych ust Renaty i Sylwii wydarł się krzyk przerażenia; Gwidon posiniał, stał chwilę nieruchomy z założonemi rękami i pałającem dumą spojrzeniem, uniesiony gniewem który mu przemówić nie dozwalał. Nagle wstrząsnął się i z groźnym ruchem podnosząc głowę zawołał:

— Ha! dziękuję za przestrogę!... ostra jest, ale dobra... Tak więc, ponieważ dotąd brakło mi jeszcze czasu do zrobienia majątku, więc zdaniem świata i waszem nie wolno mi się żenić?... Dobrze, wiem już co zrobię... a właśnie doskonała nastręcza mi się sposobność... Skoro za kilka tygodni posiędę co najmniej 100,000 fr., skoro stanie przede mną otworem rozległe pole prędkiego zbogacenia się, wtedy świat nie będzie mógł powiedzieć iż zaślubiając kobietę, którą kocham — sprzedałem się!

Wypowiedział to syczącym i urywanym głosem, chodząc po pokoju gorączkowym krokiem. Skończywszy, nagle ku babce wyciągnął rękę, ruchem pożegnalnym i wyzywającym zarazem, poczem śpiesznie się oddalił i wpadłszy do domu zatrzasnął drzwi za sobą. Renata powiodła za nim bolesnem spojrzeniem, potem przystępując do babki, całowała jej ręce i ocierała łzy płynące z oczu staruszki.

Podczas gdy Renata pieszczotami koiła boleść babki, Sylwia nie wahała się oznajmić, iż jakkolwiek nie można usprawiedliwiać postępowania Gwidona, ale że i babunia, wiedząc jak jest gwałtowny i dumny, źle zrobiła sprzeciwiając mu się i okazując tak nieprzejednaną pod względem jego ożenienia; trzeba było powoli i łagodnie przedstawić mu, a raczej zbudzić w nim samym poczucie smutnego naszego położenia i pojęcie obowiązków jakie ono wkłada. Zresztą, nie można znów brać mu tak bardzo za złe, że pokochał serdecznie i pozostał wiernym tkliwej i serdecznej towarzyszce lat młodocianych, pod każdym względem godnej jego miłości.

— Może i masz słuszność, wyszeptała wśród łez biedna margrabina, ale widzisz, kochana Sylwio, tak wiele przepłakałam i przebolałam, że cierpienie to uczyniło mnie nader drażliwą i słabą.

Wtem wszystkie trzy drgnęły nagle usłyszawszy zgrzyt i trzaśnięcie drzwi w starej kracie; drzwi te prowadziły na gościniec. Nie było to nic nadzwyczajnego, bo często otwierano je w razie przybycia jakiegoś gościa lub posłańca, a jednak na ten odgłos serca biednych kobiet ścisnęły się boleśnie.

— Któż to wychodzi... bo nikt nie dzwonił? zapytała margrabina.

— Zapewnie... ogrodnik; musi mieć jakiś interes we wsi... albo może Iwona idzie po ryby do rybaka Erbot'a, wyjąkała niepewnym głosem Sylwia.

— Pójdę zobaczę, rzekła Renata, która ogromnie zbladła.

Szła drżąc a serce jej biło gwałtownie... przeczuwała kto się oddalił. Doszedłszy do kraty ujrzała na drodze Gwidona pędzącego galopem.

— A to, proszę panienki, rzekł zasmucony ogrodnik, pan Gwidon kazał mi osiodłać konia, mówiąc że chce się przejechać. Czekałem z nim przy kracie. Wtem przybiegł nagle, wskoczył na konia, skinął aby otworzyć bramę i nie powiedziawszy do mnie ani słowa, popędził jak strzała — ot, tak jak teraz pędzi. Nie mogłem nawet powiedzieć mu: szczęśliwej drogi, paniczu.

Renata stała przy kracie ze ściśniętem sercem, z załamanemi dłońmi. „Gwidonie!... bracie mój!... wołała, ale wiatr pustynny unosił jej słowa, a rozgorączkowany młodzieniec pędził co koń wyskoczy, nie obejrzawszy się nawet na dom w którym zostawiał rodzinę. „Gdzie on biegnie?... co robić zamyśla?... myślała biedna, ścigając go wzrokiem, i zgnębiona stała nieruchoma, zapominając że pozostałe w altanie babka i ciotka, muszą się niepokoić że tak długo nie wraca.

— Cóż się to stało, Renato? odezwał się nagle za nią głos ciotki Sylwii.

Prędko odwróciła głowę, a zobaczywszy ciotkę babkę, wskazała ręką na drogę i głośnym zaniosła się płaczem.

— Nie martw się, babuniu droga, wyszeptała po chwili, on powróci.

I w tejże chwili podbiegła podtrzymując margrabinę, która bez tej pomocy byłaby upadła.

Nieszczęsny!... niewdzięczny! wyrzekła słabym głosem margrabina.... Czy nie wiesz, Renato, gdzie się udał?... byle tylko nie na drogę hańby...

Renata z ciotką Sylwią odprowadziły do domu bardzo osłabioną margrabinę, i położywszy do łóżka, najtkliwszemi otoczyły staraniami. Renata przez całą noc czuwała przy jej łóżku... A od tak dawna obiecywała sobie spędzić wesoło ten pierwszy dzień powrotu — niestety! w cóż się obróciły te zamiary i nadzieje!...

XV.

Zwycięztwo Gwidona.

Łatwo sobie wyobrazić jaki niepokój dręczył przez całą następną noc mieszkańców Goëllo. Nazajutrz rano odebrali wprawdzie list, ale tylko od pana Mercier. Gwidon de Plouernel, pisał ten zacny przyjaciel, wstąpił wczoraj na chwilkę do la Rouërie, po czem wyjechał do jednego ze swych szkolnych przyjaciół mieszkającego o dwie mile dalej. Odjeżdżając prosił pana Mercier, aby pojechał nazajutrz do Goëllo, i dowiedział się jakie jest stanowcze postanowienie pani margrabiny. Jakkolwiek było to dla niego bardzo drażliwe i trudne do wykonania polecenie, podjął się go bez wahania, pragnąc, jeżli to być może, przywrócić zgodę w rodzinie dla której ma tak głęboki szacunek i tyle szczerej życzliwości.

Margrabina przeczytała list z pełnem goryczy i zniechęcenia westchnieniem.

— Sylwio, Renato, pomówcie z nim skoro przyjedzie; nie mam siły widzieć się z nim obecnie. A jednak... rozumiem to że nie można drażnić skoro tak on jak jego córka wywierają teraz tak wielki wpływ na tego nieszczęśliwego chłopca... Powiecie mu, że co do Meliny, nie mam jej nic do zarzucenia, że ją nawet kocham, i ze jeżeli nie chcę zezwolić na ten związek, to jedynie z powodu nierówności pochodzenia, a nadewszystko majątku... Nie mogę o tem zapomnieć że mój biedny Gwidon jest margrabią de Plouernel... Powiedzcie mu że serce pękłoby mi gdyby świat mógł powiedzieć kiedyś że wnuk mój frymarczył nazwiskiem, tytułem, ręką swą, aby podnieść się z majątkowego upadku i otoczyć się zbytkiem. Staraj się także dowiedzieć, Sylwio, co ten nieszczęśliwy chłopiec zamierza czynić, jakie ma zamiary?... Wszakże to nie może być nic złego ani zgubnego? Gwidon ma szlachetne przekonania, i wie co winien samemu sobie i odziedziczonemu po przodkach nazwisku.

— Tak, tak, możesz być o to spokojna, babciu, odpowiedziała Sylwia, pomimo że nie rachowała wcale na roztropność i umiarkowanie siostrzeńca. Skoro pan Mercier dostanie się w moje ręce, skoro będę mu mogła dobrze spojrzeć w oczy, musi mi się wyspowiadać ze wszystkiego.

— Droga babuniu, dla czego miałabyś powątpiewać o szlachetności Gwidona? rzekła Renata z czułością. Cierpi i stroni od nas w tej chwili, ale nas kocha. Niedługo wróci do ciebie żałujący za swe uniesienie, i błagać cię będzie abyś mu przebaczyła.

Tak więc, jeżli pan Mercier nie widział się z margrabiną, był przynajmniej grzecznie przyjęty w Goëllo. Słodka i mężna Renata, która nieniele przywiązywała znaczenia do czczej gadaniny świata, nie rozumiała dla czego tenże świat miałby, z powodu błahej kwestyi majątkowej, rozłączać dwa kochające serca, złączone z sobą od lat dziecinnych, których ani czas ani oddalenie nie zdołało rozdzielić z sobą. Co do siebie zaś, jakżeby mogła nie życzyć sobie aby Melina została jej siostrą, skoro ją tak kochała i cieszyła się zawsze że jest jej przyjaciółką? Sylwia ze swej strony była przekonaną że gdyby młodzi arystokraci równie popędliwi i nierozważni jak Gwidon, żenili się częściej z mieszczankami i mieli dość rozsądku aby stosować się do ich rady, przyniosłoby to prawdziwe szczęście tak im jak ich rodzinom. Dla tego też uwiadomiono pana Mercier o powodach dla których margrabina odmawiała swego zezwolenia w sposób tak delikatny, że nie mógł się obrazić, a co więcej stracić zupełnie nadziei. Kto wie nawet czy jako człowiek bystry i przenikliwy, nie domyślił się odrazu że ma w Sylwii i Renacie dwóch potężnych sprzymierzeńców, gotowych dopomagać do urzeczywistnienia zamiarów Gwidona. Pomimo to, nie chciał dać żadnych objaśnień co do obecnych projektów swego przyszłego zięcia.

— Ale cóż on robi, czyli raczej co zamierza robić? pytała nalegająco Sylwia. Czy ma jakieś małe oszczędności ze swej pensyi i zamierza próbować szczęścia na giełdzie?

— A na jakiejże giełdzie, szanowna pani? w Brest, Rennes, lub tez Lorient? Gdyż obecnie ten biedny Gwidon postanowił nie oddalać się z tych stron.

— Może ma zamiar wstąpić do wojska? odezwała się drżącym głosem Renata.

— O! tego nie potrzebujesz obawiać się panno Renato... Podobnych środków nie chwyta się człowiek chcący zarobić... znaczną sumkę w ciągu kil-

ku dni... Brat pani, jako potomek Plouernel'ów, nie potrzebuje już myśléć o wsławieniu swego nazwiska, ale potrzebuje pieniędzy. Wczoraj właśnie powiedział do mnie:—A! więc to dla tego nie mogę żenić się z Meliną że jestem ubogim!... Muszę pokazać światu że potrafię zrobić znaczny majątek, i to w krotkim czasie.

— Czy to być może?... Zapewnie ten nieszczęśliwy chłopiec zamierza szukać szczęścia przy zielonym stoliku! zawołała przerażona Sylwia.

— I o to także nie można się obawiać, łaskawa pani; szczęściem domy gry nie istnieją dotąd na prowincyi, a jak już powiedziałem, siostrzeniec pani nie ma obecnie zamiaru szukania majątku w Paryżu.

Na tem skończyła się rozmowa, i pan Mercier pożegnał się nie szczędząc zapewnień o swej niezmiennej życzliwości i o swym najgłębszym szacunku dla mieszkańców Goëllo. Sylwia i Renata usiłowały pocieszyć margrabinę przedstawiając jej że Gwido nie byłby zdolnym popełnić coś uwłaczającego honorowi, ale nie mogły jej wytłomaczyć w jakim celu oddalił się z pod rodzinnego dachu.

. . . .

Upłynęło tak jeszcze trzy dni, dni długie, smutne, pełne niepokoju. Renata pragnęła zasięgnąć jakichś pewniejszych wiadomości, ale ciotka Sylwia powstrzymywała ją i zachęcała do cierpliwości.

— Uniesienie Gwidona nie potrwa długo, mówiła, a babka nie powinna ustępować zbłąkanemu i krnąbrnemu wnukowi.

— Ale siostrze wolno odszukać brata i sprowadzić go napowrót w rodzinne progi, mówiła ze łzami Renata.

— Biedne dziecko, zaczekaj jeszcze trochę, odpowiedziała ciotka. Wprawdzie ty jedna mogłabyś wpłynąć na tego roztrzepańca i wprowadzić go napowrót na dobrą drogę, ale trzeba aby miał czas zastanowić się nad tem co uczynił, zrozumiéć że źle postąpił.

Jednak Renata nie czekała długo: udręczenia własne, a nadewszystko cicha rozpacz babki, sprawiały jej zbyt wiele cierpienia; dla tego też gdy czwartego dnia rano ciotka i babka udały się do kościoła, pobiegła śpiesznie do la Rouërie, aby tam zasięgnąć jakich wiadomości. Często przechodziła ten próg z wesołym uśmiechem na ustach, ale teraz gdy smutek opanował jej serce, wszystko wydawało jej się smutne i ponure. Może nawet zmartwienie osłabiło jej przywiązanie do Meliny, bo gdy weszła do jej pokoju, nie zwróciła prawie na to uwagi że jej biedna przyjaciółka była także bardzo zmieniona.

Lineta była zawsze równie czułą i drażliwą jak w swych dziecinnych latach, dla tego też teraz świeża jej twarzyczka pobladła nagle, śliczne błękitne oczy blask swój utraciły, uśmiech znikł z usteczek, a wielkie łzy spływały po licach, słowem, wyglądała tak, jak gdyby przebyła długą i ciężką chorobę. Pomimo to Renata zajęta głównie dręczącemi ją myślami, nie zwróciła na to uwagi w pierwszej chwili.

— Melino! zawołała, babka moja w rozpaczy. Obawiam się o jej życie... Powiedz mi gdzie jest Gwidon!

— Renato... droga moja Renato... ja sama tego nie wiem, odpowiedziała Melina, i rzęsiste łzy popłynęły jej z oczu, a główka pochyliła się smutnie na piersi. Renata przejęta litością, zarzuciła ręce na szyję swej biednej przyjaciółki.

— Przebacz mi, zawołała łkając Melina, rozrzewniona tą pieszczotą; gdybyś wiedziała jak ja cierpię, jak wstydzę się samej siebie gdy pomyślę że stałam się powodem gnębiącej was boleści i gorzkich łez waszych!... A jednak powiedziałam Gwidonowi... gdy tu przybył wtenczas wieczorem, smutny i rozdrażniony: „Panie Gwidonie, zapomnij o mnie... Szanuj przedewszystkiem wolę babki... Ja kocham ją i szanuję, a cokolwiek nastąpi nie zmienię się nigdy...” Ale, Renato, brat twój nie chciał mnie słuchać... Wiesz jak jest prędki a przytem drażliwy. Nawet ojciec mój... może trudno ci będzie uwierzyć temu... oświadczył że są to tylko dziecinne troski, i że jest pewnym ze wszystko skończy się pomyślnie. Co do mnie, nie mam już żadnej nadziei... zdaję mi się że tego nie przeżyję... Zdawało mi się że babka twoja kocha mnie trochę, że kiedyś zezwoli na to abym weszła do waszej rodziny! Odkąd utraciłam tę nadzieję, zdaję mi się że już nic mi nie pozostało na świecie.. Ojciec mój odprowadził twego brata, a gdy wrocił, nie chciał mi powiedziéć gdzie Gwidon pojechał i co zamierza czynić.

— Czy to być może! odpowiedziała przestraszona Renata. Słuchaj, Lineto, pójdźmy do niego razem; przedstawimy mu że popełni prawdziwe okrucieństwo, zachowując dłużej milczenie, że może przez to stać się powodem śmierci mej babki... Ty zaś staraj się być mężną, moja biedna Melino... Wierz mi że nie wszystko się dla nas kończy, gdy utracimy najmilszą dla nas nadzieję... Gdybyś wiedziała ile może przecierpiéć serce młode i kochające, jaką może przetrwać boleść, i zachować jeszcze gorące współczucie na cierpienia innych osób, choć z razu zdawało mu się że wszelkie uczucie zamarło w nim na zawsze!... Zresztą możesz być pewną, Lineto, że znajdziesz pomiędzy nami serca które cię nigdy i w żadnym razie kochać nie przestaną.

Tak rozmawiając weszły do gabinetu byłego notaryusza.

— Przez litość, panie Mercier, powiedz nam gdzie jest Gwidon? zawołała Renata podając mu drżącą rękę i zwracając na niego błagające spojrzenie.

— Droga panno Renato, nie mam obecnie potrzeby ukrywać jego czynności ani też miejsca jego pobytu. On sam zresztą upoważnił mnie do tego, przesyłając mi kilka egzemplarzy tej gazety, z których jeden posłałem już nawet pani margrabinie.

— Numer gazety! cóż gazeta mogła miéć wspólnego z zamiarami Gwidona? pomyślała przerażona Renata, zatrzymując wzrok na miejscu wskazanem jej przez pana Mercier, i zakreślonem czerwonym ołówkiem, prawdopodobnie ręką Gwidona.

„Sportsmen i nasi długo będą mówić o wyścigach które odbyły się w T*** w dniu onegdajszym. Wiadomo że stajnia barona de la Rocherais, jednego z najgorliwszych i najszczęśliwszych zwolenników sportu, poniosła niedawno dotkliwe straty. Pomimo to, baron obznajmił że ma zamiar ubiegać się o nagrodę, bez względu na to że współzawodnikiem jego miał być hrabia L***, właściciel sławnych wyścigowych koni. Znawcy utrzymywali że nie można prawie miéć nadziei aby pan de la Rocherais otrzymał zwycięztwo, tymczasem traf szczęśliwy dozwolił mu jednocześnie znaleźć i prawdziwie cudownego konia i nieporównanego jeźdźca, pana Gwidona de P***, którego baron poznał w Paryżu. Na mocy umowy zawartej między tymi dzielnymi sportsmenami, pan Gwidon de P*** zobowiązał się na dwa dni przed wyścigami sprzedać swego konia *Chochlika* baronowi de la Rocherais, i stanąć na nim osobiście do *steeple-chase gentlemenów viders* pod warunkiem że baron zapłaci mu zaraz gotówką dość pokaźną sumkę za konia, a wrazie zwycięztwa przypuści młodego wspólnika do połowy zysków. Usiłowania dzielnych sportsmenów zostały uwieńczone najpomyślniejszym skutkiem. Pan Gwidon de P*** prześcignął wszystkich współzawodników na długość dwóch koni, i tym sposobem baron zyskał sumę wynoszącą dwieście tysięcy franków, pochodzącą z bardzo wysokich zakładów, którą natychmiast podzielił się ze swym dzielnym wspólnikiem”.

Na tem skończył się artykuł dziennika, a pod nim Gwidon dopisał ołówkiem następujące [słowa:

„Oto co dotąd uczyniłem, i co dalej czynić zamierzam, jeźli to będzie potrzebnem. Znam moje zdolności i czas w którym żyję... Tym sposobem można się prędko dorobić majątku.”

Renata upuściła dziennik, i czując że ją siły opuszczają upadła na stojący za nią fotel.

— Panie Mercier, rzekła słabym i drżącym głosem, odpychając prawie jego rękę gdy ją chciał podtrzymać, czy to prawda?... czy rzeczywiście posłałeś ten dziennik mej babce?

— Tak, panno Renato, i mogę śmiało zaręczyć że czyniąc to, spełniłem tylko życzenie... czyli raczej wyraźny rozkaz pana Gwidona, który tym spósobem chciał zdać sprawę ze swego postępowania.

— A więc biedna moja babka... przeczytała już ten artykuł!... Panie Mercier... może zabiłeś ją!... Przepraszam, nie wiem sama co mówię... To Gwidon... O! niewdzięczny, okrutny!... Jakże straszny cios jej zadał.

Mówiąc to wstała śmiertelnie blada i zwróciła się ku drzwiom, skinąwszy głową na pożegnanie. Melina zalana łzami, schwyciła ją za rękę chcąc ją zatrzymać.

— Puść mnie, rzekła Renata łagodnie, babka moja cierpi, a mnie nie ma przy niej... mnie, którą Opatrzność chciała jej zostawić aż do ostatniej chwili życia.

— Nie możesz tak odejść, Renato! zawołała zanosząc się od płaczu Melina. Siły opuszczą cię w drodze... Zaprzęgną natychmiast do powozu...

Panna de la Plouernel wstrząsnęła przecząco głową. Boleśnie byłoby jej przyjąć cokolwiek od tych dawnych przyjaciół, z których powodu spadało na nią teraz tak gorzkie, tak dotkliwe cierpienie.

— Przynajmniej, będziesz tym sposobem prędzej w domu, Renato, rzekła pokornie biedna Lineta.

Te słowa wymówione głosem nieśmiałym i pełnym głębokiej czułości, wzruszyły Renatę, przycisnęła usta do zroszonej łzami twarzyczki przyjaciółki i usiadła, a pan Mercier wybiegł natychmiast i kazał zaprzęgać śpiesznie do najpiękniejszego powozu.

Wkrótce po tem, Renata smutna i przygnębiona jechała do domu, w którym oczekiwał ją widok tak ciężkiej boleści. Niepodobna było oddawać się jakimś złudzeniom; jej szlachetna i tkliwa babka została ugodzoną w samo serce, i ta rana nie zagoi się już nigdy. Ze wszystkich tak licznych goryczy życia, które znosiła z tak chrześciańską rezygnacyą, najcięższą, najboleśniejszą i nigdy nie zapomnianą była śmierć jedynego syna, zmarłego w pełni życia i siły, a zmarłego śmiercią marną, w walce bezużytecznej, przed oczami chciwych wrażeń tłumów, jakby jakiś cyrkowy jeździec, lub dawny gladiatór. Byłaż to śmierć odpowiednia dla margrabiego de Plouernel? Umrzéć jak jakiś żokej, umrzéć bez celu, bez spowiedzi, bez Boga; umrzéć dla garstki złota, dla wygrania zakładu, dla sławy swego konia, gdy przodkowie wylewali swą krew w obronie ojczyzny i wiary! Była to rzecz straszna, okropna, a Renata wiedziała że biedna jej babka dręczyła

się ciągle tą myślą że jak podobna śmierć nie da się niczem usprawiedliwić, tak też może nie ma za nią przebaczenia. Czy nie dosyć jeszcze że ten szał występny wydarł jej syna?... Czy teraz przyszła kolej na Gwidona?

Nagle silna woń janowcu unosząca się w powietrzu wyrwała Renatę z boleśnego zamyślenia. Nigdzie janowiec nie rozrastał się tak bujnie i nie pokrywał się tak gęsto kwiatami jak w części stepu przytykającej do Goëllo. Zdawało się że dobroczynna przyroda chciała dodać więcej uroku temu zakątkowi ziemi, w którym żyły samotnie szlachetne serca i od którego stronili już przez tak długie lata ludzie szczęśliwi.

— Dom już blizko, pomyślała biedna Renata podnosząc głowę. Trzeba łzy powstrzymać, trzeba uspokoić się, zapanować nad sobą, przygotować się do tego co tam zastanę.

Złożyła ręce i patrzyła niespokojnie na szare ściany domu, zamkniętą bramę, pusty dziedziniec i okna ozłocone wesołemi promieniami słońca, za któremi jednak ukrywało się tyle łez i boleści.

W kilka minut później była już w domu. Drzwi otworzyła jej blada i smutna Iwona, ogrodnik wyszedł z kuchni stąpając na palcach, jak gdyby w domu znajdował się ktoś ciężką złożony chorobą. Wbiegła na schody i padła w objęcia Sylwii wybiegającej naprzeciwko niej. Nie miała siły wymówić jednego słowa, ale oczy jej mówiły za nią.

— Zemdlała, ale teraz jest już silniejsza i uspokoiła się nawet, szepnęła Sylwia przyciskając ją do serca z macierzyńską czułością. Prosiła aby ją zostawić samą. Chce zastanowić się, rozmyślić.

— A więc żyje?... żyje! zawołała Renata ze łzami.

— Cóż więc przypuszczałaś, biedne moje dziecię? zapytała Sylwia.

— Ah! ciociu... ten dziennik... to postanowienie Gwidona!...

— Gwidon okazał się rzeczywiście okrutnym, szalonym... O! mój piękny siostrzeniec jest nieodrodnym synem swego ojca, szepnęła Sylwia z wyrazem goryczy. Masz teraz dowód, biedne moje dziecię, czem są najczęściej mężczyźni. Olśniewa ich cel do którego dążą, siła zaślepia... Co do biednych, drżących z obawy serc, które znajdują na swej drodze, są to tylko dziecinne przeszkody: któżby tam zważał na nie? Jednem spojrzeniem potrafią je zmrozić, jednem słowem zadać cios śmiertelny.

— Oby tylko ten cios nie był dla niej śmiertelnym! zawołała drżąca jeszcze Renata.

— Biedne dziecko, drżysz cała, zaledwie możesz utrzymać się na nogach... Idź do twego pokoju, połóż się, odpocznij trochę. Nie możesz teraz pójść do babki, która chce się pomodlić i namyślić co ma czynić dalej. Przywołam cię, skoro będzie można wejść do niej, moja ty biedna siostro męczennico!

Panna de la Trémarais odprowadziła Renatę do jej pokoju i wróciła śpiesznie do gabinetu poprzedzającego sypialny pokój margrabiny. Biedna Sylwia, obecne cierpienia zmniejszały dla niej gorycz doznanego w przeszłości zawodu.

— Moja droga, ukochana Renata, jeżeli dziś cierpi tyle z powodu brata, ileżby cierpiała gdyby jej szło o męża? mówiła do siebie z wyrzem najżywszej czułości.

Prawdopodobnie w tej chwili rzuciła klątwę na wszystkich znanych sobie mężczyzn: na pana de Sarrans, Gwidona, zmarłego margrabiego Raula, a nawet na pana Mercier.

W domu długo jeszcze panowało głębokie milczenie. Margrabina zadzwoniła dopiero wieczorem, a gdy Sylwia i Renata weszły do niej, zastały ją siedzącą w fotelu, z oczami utkwionemi w wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, znajdujący się nad jej klęcznikiem, z twarzą bladą i zmienioną, ale z czołem wypogodzonem, z jasnem i pewnem spojrzeniem.

— Chodź moja dobra Sylwio, i ty także moje drogie dziecię... przeczuwam Renato, jak wiele ty także ucierpiałaś... Co do mnie, wprawdzie cierpię nad tem, ale jestem już spokojna. Prosiłam Boga aby mnie oświecił, i sądzę że się nie mylę spełniając ciężką i bolesną ofiarę dla uratowania duszy tego nieszczęśliwego chłopca.

Podniosła z ziemi i podała Renacie gazetę zwilżoną gorzkiemi jej łzami.

— Pan Mercier, który mi to przysłał, musi wiedzieć gdzie Gwidon przebywa obecnie. Poślij do niego aby ci przysłał jego adres, a następnie napiszesz do brata w mojem imieniu.

Przestała mówić na chwilę, jakby jej sił zabrakło, a Sylwia i Renata spojrzały na nią niespokojnie.

— Napiszesz do brata, odezwała się znowu, że proszę Boga aby mu przebaczył cierpienie jakie mi sprawił swojem postępowaniem. Że, co do mnie, zezwalam na jego związek z Meliną, lecz że to zezwolenie udzielam mu pod tym jedynie warunkiem, aby wyrzekł się na zawsze zgubnego zawodu który rozpoczyna obecnie. Niech da słowo honoru swej starej babce, lub jeźli woli, narzeczonej, że nigdy już nie będzie brał osobiście udziału w wyścigach ani też w zakładach towarzyszących wyścigom. Czy ten straszny obraz zatarł się już w pamięci tego nieszczęśliwego chłopca?... Miałaś ojca, biedne dziecko, ja miałam jedynego syna... i dla jakiegóż to celu poświęcił życie? Teraz, gdy Gwidon naraża się na niebezpieczeństwa równie bezowocnego życia i podobnej śmierci, wolę poświęcić godność i sławę jego nazwiska a ratować jego duszę... Wolę aby świat widząc go otoczonego tym pożyczanym zbytkiem, powiedział wskazując go palcem: „To margrabia de Plouernel, który się sprzedał"! niżeli aby kiedyś anioł śmierci zapisał w księdze wiekuistej sprawiedliwości: „Oto już drugi Plouernel... który przez śmierć swą zasłużył na potępienie!"

Łkanie stłumiło głos margrabiny. Sylwia pochyliła się ku niej z wyrazem tkliwego współczucia; Renata klęcząca przy niej, przycisnęła usta do jej ręki.

— Czuwajcie obie nad Gwidonem, mówiła dalej margrabina starając się uspokoić. Ja nie długo już będę z wami; zresztą serce moje już nazbyt zranione, abym mogła wywierać wpływ jakiś!... Ale wy pozostaniecie przy nim; kochajcie go zawsze, niech znajdzie w was swych aniołów stróżów... równie jak w swej młodej żonie... tej łagodnej i tkliwej Melinie. Powiedz jej, Renato, że jej także powierzam tego nieszczęśliwego chłopca, niech będzie jego przewodniczką na dobrej i zbawiennej drodze... Niestety! nie obiecuję jej szczęścia, ale daję jej wzniosłe zadanie, żądam od niej poświęcenia trwającego przez całe życie... Ale to poświęcenie przyniesie dla nich obojga prawdziwie błogie skutki... Mój biedny Raul nie zginąłby tak marnie, gdyby jego anioł stróż nie opuścił go przedwcześnie.

— O! tak, prośmy Boga aby Gwidon nie stracił tak wcześnie żony! szepnęła Sylwia ocierając łzy spływające po jej twarzy.

Renata klęcząca ciągle przy nogach babki, rzekła pełnym słodyczy i tkliwości głosem:

— Jestem pewną, babuniu, że Melina zrozumie czego żądasz od niej, i zastosuje się do twej woli... Kocha bardzo Gwidona i kocha nas wszystkich od dziecinnych lat życia!... Ale, babuniu, zrozumiałaby lepiej jeszcze, gdybyś jej to powiedziała sama!

Margrabina zwróciła na nią wtenczas oczy z głębokiem westchnieniem, i długo milcząc wpatrywała się w twarz swej drogiej Renaty, zwracającej na nią błagalne spojrzenie.

— Ukochane moje dziecię, rzekła nakoniec, ty jesteś prawdziwą chlubą naszej rodziny, ty jesteś wśród nas aniołem pocieszycielem, aniołem miłosierdzia i miłości... Pójdę za twoją radą, pomówię sama z Meliną. Przyprowadzisz ją do mnie, i przy pomocy Bożej, przyjmę ją w moje objęcia... i... i do mego serca. Nie chcę już myśleć o sądach świata, pragnę uciszyć żal i dumę... gotowam wszystko uczynić dla spokoju tego nieszczęśliwego chłopca, dla zbawienia jego duszy!

Tym to sposobem zakończyła się krótka ale bolesna walka, którą wywołał Gwidon oświadczając się o rękę Meliny. W parę dni później wrócił on do Goëllo, żałujący ale zarazem szczęśliwy, uniesiony radością. Jednak chmurka smutku zasępiająca tam z jego powodu wszystkie czoła, nie mogła rozproszyć się tak prędko, babka przebaczyła wprawdzie, ale była poważna i stroskana, Sylwia więcej niż zwykle rozdrażniona, Renacie łzy kręciły się w oczach gdy patrzyła na brata.

Ponieważ ucieczka Gwidona z Goëllo narobiła dość wrzawy w całej okolicy, najlepiej było dla zapobieżenia plotkom, zająć się prędko przygotowaniami do ślubu. Pan Mercier odmłodzony, promieniejący radością, gotów był poruszyć w tym celu połowę departamentu. Wprowadził do starego zamku Plouernel cały legion robotników, chcąc aby Melina dostała w posagu pałac wyświeżony, wystrojony. Alfred przyjechał natychmiast aby dopomagać ojcu, i nie zdawał się mniej szczęśliwym od innych członków swej rodziny.

Baron de la Rocherais ubolewał nad tem bardzo że stracił tak użytecznego wspólnika. Pani Babillon tryumfowała że spełniły się wszystkie jej przepowiednie. W Goëllo wszystkie czoła z wyjątkiem margrabiny, wypogodziły się znacznie, ponieważ milutka Lineta już dawno wyrobiła sobie w sercach niepoślednie miejsce. Sylwia udzielała jej rady co do wyboru bielizny i mebli, Renata co do sukien, klejnotów i koronek. Gwidon dumny ze swych stu tysięcy franków, zdobytych tak prędko, ofiarował jej śliczne prezenta ślubne. Na trzy dni przed ślubem, margrabina przywołała do siebie Melinę i długo rozmawiała z nią sam na sam z taką czułością i dobrocią, że napełniła błogą niewysłowioną radością kochające serce swej przyszłej wnuczki, a następnie uściskawszy ją dała jej naszyjnik, który od dawnych już czasów był uważany jakby jakieś relikwie rodzinne. Dawniej miała zamiar oddać go Renacie, w dniu jej ślubu, ale dzień ten nie nadszedł wcale, a Renata prosiła tak bardzo aby go oddano z błogosławieństwem narzeczonej Gwidona, i życzenie jej zostało spełnione. „Któż potrafi się oprzeć prośbom anioła?" pomyślała margrabina, i z westchnieniem żalu włożyła naszyjnik na szyję Linety. W trzy dni później zdobił jej białą szyję, gdy w ślubnem ubraniu weszła do kościoła w Kergoat, gdzie już czekali na nią przyjaciele i sąsiedzi. W godzinę potem ukazała się znów na progu blada, wzruszona, ale szczęśliwa, i już jako margrabina de Plouernel. Tegoż samego wieczora wyjechała z Gwidonem do Paryża, gdzie mieli zabawić czas jakiś, zanim zamieszkają stale w Plouernel, a mieszkańcy Goëllo spokojni i prawie zadowolnieni wracali do swego cichego i samotnego domku.

XVI.

Ostatnie pożegnanie.

Melina rozmawiała czas jakiś na osobności z ciotką Sylwią i margrabiną, zanim wraz z Gwidonem wyjechała z la Rouërie.

— Zaklinam na wszystko panią margrabinę... chciałam powiedzieć drogą babunię, i ciebie kochana ciociu, abyście zechciały opuścić ten dom stary i smutny jeszcze przed naszym powrotem. W Plouernel wszystko już gotowe na wasze przyjęcie; dawne wasze pokoje czekają tam na was... a w nich wszystkie dawne wspomnienia. A jakież to szczęście będzie dla Gwidona i dla mnie, gdy skoro wrócimy do Plouernel, zastaniemy w nim tak drogie nam osoby.

Melina mówiąc to była podobną do anioła promieniejącego szczęściem i błagającego biednych śmiertelników aby nie odrzucali dobrodziejstw którémi obsypywała ich Opatrzność. Margrabina patrzała na nią z zadziwieniem, prawie z uwielbieniem; Sylwia z wyrazem głębokiego przywiązania: „Jest tylko mieszczanką, pomyślała z zadowoleniem, ale nikt nie może zaprzeczyć że pod względem delikatności uczuć i dobroci serca nie jedna księżna lub hrabina musiałaby jej ustąpić pierwszeństwa.”

Jednak margrabina, do której głównie zwracały się te słowa, wstrząsnęła z westchnieniem głową i milczała czas jakiś jakby się namyślała.

— Dziękuję ci i błogosławię cię z całego serca, drogie moje dziecię, rzekła nakoniec, ale nie wiem jeszcze czy będę korzystać z twego tak serdecznego zaproszenia. Nie przeczę że Goëllo jest to rzeczywiście dom stary i smutny, ale może dla tego właśnie jest właściwszym dla osób starych także i smutnych. Prócz tego, mieszkam w nim już tak długo i przyzwyczaiłam się już do tej myśli że pozostanę w nim do śmierci... Jednak nie smuć się moje dziecię, nie odmawiam stanowczo, ale też nie obiecuję, zobaczymy później... Teraz jedź szczęśliwa, moja dobra Lineto; nie zapominaj o mnie, kochaj Gwidona, wywieraj na niego wpływ zbawienny i przebacz mu jeźli zawini. Nie powątpiewaj nigdy o mojem szczerem przywiązaniu, a co do reszty, spuść się na łaskę Opatrzności.

Następnie, młoda margrabina pożegnała raz jeszcze swoją i męża rodzinę, i wsiadła do powozu ze łzami w oczach, z uśmiechem na świeżych i rumianych usteczkach, Margrabina wracająca tegoż dnia wieczorem do Goëllo, spostrzegła w dali ukazujący się po nad wierzchołkiem dębów łubkowy dach Plouernelu, i z westchnieniem wstrząsnęła głową; przyrzekła sobie że tam już nigdy nie wróci. Trzeba być wyrozumiałym na wpływ rodowych tradycyj, dawnych wspomnień, na uczucie szlachetnej dumy. A jednak byłoby jej tak miło spocząć pod tym dachem, zamknąć powieki w tych murach w których żyło i umierało tylu jej przodków. Ale jeźli przyjęłaby z radością to szczęście z rąk Gwidona, któryby zawdzięczał własnym swym staraniom majątek, nie chciała go przyjąć z rąk Gwidona buntującego się przeciwko rodowym tradycyom, od Gwidona który nie umiał inaczej zabezpieczyć swego losu, jak żeniąc się z córką zbogaconego mieszczanina. Nie odmówiła mu przebaczenia i błogosławieństwa, ale nie zamieszka nigdy w jego domu. Czy zresztą w tym odwiecznym zamku, teraz wyświeżonym i przeistoczonym, nie przyłączyłoby się jeszcze więcej goryczy do jej wspomnień, czy nie czułaby się jeszcze więcej upokorzoną?

W ciągu zimy, którą Gwidon przepędził z żoną w Paryżu, mieszkanki Goëllo wiodły równie ciche jak dawniej, i samotne życie. Tylko pan Mercier, który od ślubu Meliny nabrał przekonania że i on także należy do familii, odwiedzał je dość często, pomimo że biedna margrabina z trudnością ukrywała jakąś pomimowolną niechęć i żal do niego. Pan radca jeneralny nie zdawał się tego spostrzegać, a co więcej, znać było że go dręczy jakiś smutek który starał się ukrywać. A jednak jakież mógł mieć do niego powody? Wszakże jego ukochana Melina została już margrabiną; wszakże już to samo powinnoby go uszczęśliwić zupełnie?

— To Alfred tak mnie dręczy i drażni, odpowiedział pewnego dnia na zapytanie ciotki Sylwii, która pozostała z nim na chwilę sama i żartowała z jego miny zafrasowanej i złego humoru. Czy pani uwierzy że nie mogę go namówić aby się ożenił... Przedstawiałem mu jednak bardzo piękne partye... Czy też kto słyszał kiedyś o czemś podobnem?

— Ale, panie Mercier, zdaję mi się że Alfred jest bardzo rozsądnym chłopcem, musi więc mieć do tego jakieś powody... Zresztą małżeństwo, — równie jak zupa z cebuli,—nie każdemu przypada do smaku.

— Powody?... piękne mi powody!... Powody niedorzeczne, jakie tylko mogą zrodzić się w szalonej głowie... Pan Alfred chciałby schwytać księżyc żębami, i dziwi go to, gniewa, że ojciec, który już tyle uczynił dla niego, nie chce wyciągnąć ręki aby mu go zdjąć z nieba... Nie mogę tego zrozumieć, aby chłopiec w dwudziestym siódmym roku życia, dobrze wychowany, majętny, chciał koniecznie porzucić dobra warte trzykroćstotysięcy franków dla tego że nie może dostać żony według swego serca... a nie dość na tem, zamierza jeszcze wstąpić do wojska!...

— Ha! jeden woli wstąpić do wojska, drugi w związki małżeńskie, wszystko to zależy od gustu, żartowała Sylwia. Co do mnie, nie widzę w tem nic złego że ktoś wejdzie do wojska, często nawet wyjdzie na tem lepiej niżeli gdyby się ożenił.

— Zapewnie, i to zdarza się często... Ale gdyby pani wiedziała o kogo tu idzie!... No! nie mówmy już lepiej o tem... Wszystko to martwi mnie i gniewa!... Syn, dla którego tyle uczyniłem, dla którego spodziewałem się tak świetnej przyszłości!

— Nie trzeba zapominać, panie Mercier, że te młode, gorące umysły mają także swoje marzenia i nadzieje, odezwała się Sylwia poważnie i z wyrazem prawdziwego współczucia, a zawiedzione nadzieje są powodem dotkliwych cierpień dla tych serc biednych i nierozważnych, które nie nauczyły się jeszcze cenić stosownie do ich rzeczywistej wartości, dóbr kupionych za trzysta tysięcy franków.

Te słowa ciotki Sylwii sprawiły silne wrażenie na umyśle pana Mercier, który wrócił tego dnia do domu bardzo zamyślony. W czasie swej bytności w Goëllo był nader grzecznym i nadskakującym dla Renaty, której wydawało się to śmiesznem, ale uważała że od teścia Gwidona powinna przyjmować grzeczności jako dowód życzliwości i szacunku, jakkolwiek przywiązywała do nich bardzo mało ceny.

Wkrótce potem nowy smutek i niepokój wkradł się do serca Renaty i Sylwii; zima była tak ostra że wpłynęła bardzo szkodliwie na zdrowie margrabiny, podkopane już w owym dniu gdy Gwidon rozdrażniony jej uwagami uciekł z domu, i gdy odebrała gazetę, z której dowiedziała się na jakim polu wnuk jej zamierza szukać majątku. Od tego czasu traciła stopniowo siły i cierpiała nie skarżąc się nigdy, oczekując z upragnieniem chwili w której przestanie żyć i cierpieć. Lecz zawsze dobra i pobłażliwa, dziękowała Bogu, że przedłużył jej dni o tyle że mogła jeszcze przebaczyć Gwidonowi i pobłogosławić go wraz z żoną, że teraz już nie będzie sobie wyrzucał śmierci babki, przypisując ją tylko jej podeszłemu wiekowi. Ostatnie chwile tej czcigodnej niewiasty były spokojne, po kilku dniach zasnęła na wieki nie doznając żadnych cierpień. Gwidona przywołano skoro tylko zaczęto się obawiać o jej życie, ale przybył sam tylko, Melina pomimo najszczerszej chęci nie mogła mu towarzyszyć. Młoda margrabina zaziębiła się wychodząc z balu, i zabroniono jej nie tylko wyjeżdżać z domu, ale nawet wychodzić z pokoju, tak więc syn marnotrawny przyjechał sam do Goëllo.

— Melina cierpiała nad tem wiele że nie mogła przybyć tu ze mną!... ale i ona także chora... rzekł klękając przy łóżku umierającej. Czy cierpisz babdzo, babuniu?... Czy kochasz moją drogą żoneczkę?... Czy przebaczasz nam, dobra kochana babuniu? zawołał płacząc i okrywając pocałunkami jej chłodną już rękę.

— Nie cierpię wcale, mój drogi Gwidonie, szepnęła umierająca. Przebaczam ci z całej duszy, z całego serca... Co do twej żony, kocham ją i błogosławię: ona będzie twoim aniołem stróżem. Jeżeli chcesz ustrzedz się od upadku i być szczęśliwym, nie zapominaj mej rady, kochaj ją zawsze nad wszystko... Ja odchodzę do drugiej córki mojej, do twej matki, którą utraciłam już tak dawno... a co do... tej którą tu pozostawiam... będę prosić Boga aby zlitował się nad tobą, i dla twego szczęścia... zostawił ci ją długo... długo...

Uniosła trochę głowę, spostrzegła Renatę, i rzekła z głębokiem uczuciem choć słabnącym już głosem, wyciągając do niej prawie zlodowaciałą rękę.

— Moje dziecię, powierzam cię nadewszystko opiece twej siostry... naszego anioła.

W kilka godzin później przestała już mówić, ale znać było z jej spojrzenia że zachowała jeszcze przytomność, i uśmiechała się do obecnych, a nad ranem zgasła spokojnie na rękach Renaty, trzymającej przy jej ustach krucyfiks, całując do ostatniej chwili to krzyż, to rękę ukochanej wnuczki.

Tak więc margrabina nie przestąpiła za życia progów zamku Plouernel, ale ciało jej złożono w rodzinnych grobach gdzie spoczywało tylu jej przodków Sylwia i Renata znosiły z prawdziwie chrześciańską rezygnacyą swą ciężką stratę. Zaraz po pogrzebie Gwidon zawiózł je do Plouernel, którego nie widziały przez lat tyle, i który po odnowieniu wyglądał zupełnie inaczej jak dawniej.

— Są jednak pokoje w których nic nie zmieniono! zawołał Gwidon z boleścią; pokoje zajmowane dawniej przez naszą drogą babkę! Oboje z Meliną przykazaliśmy aby wszystko pozostawiono w nich tak jak było; znalazłaby tam wszystko co dawniej lubiła: swą bibliotekę, kapliczkę, stare swoje obrazy,.. nawet szare, spłowiałe meble!...

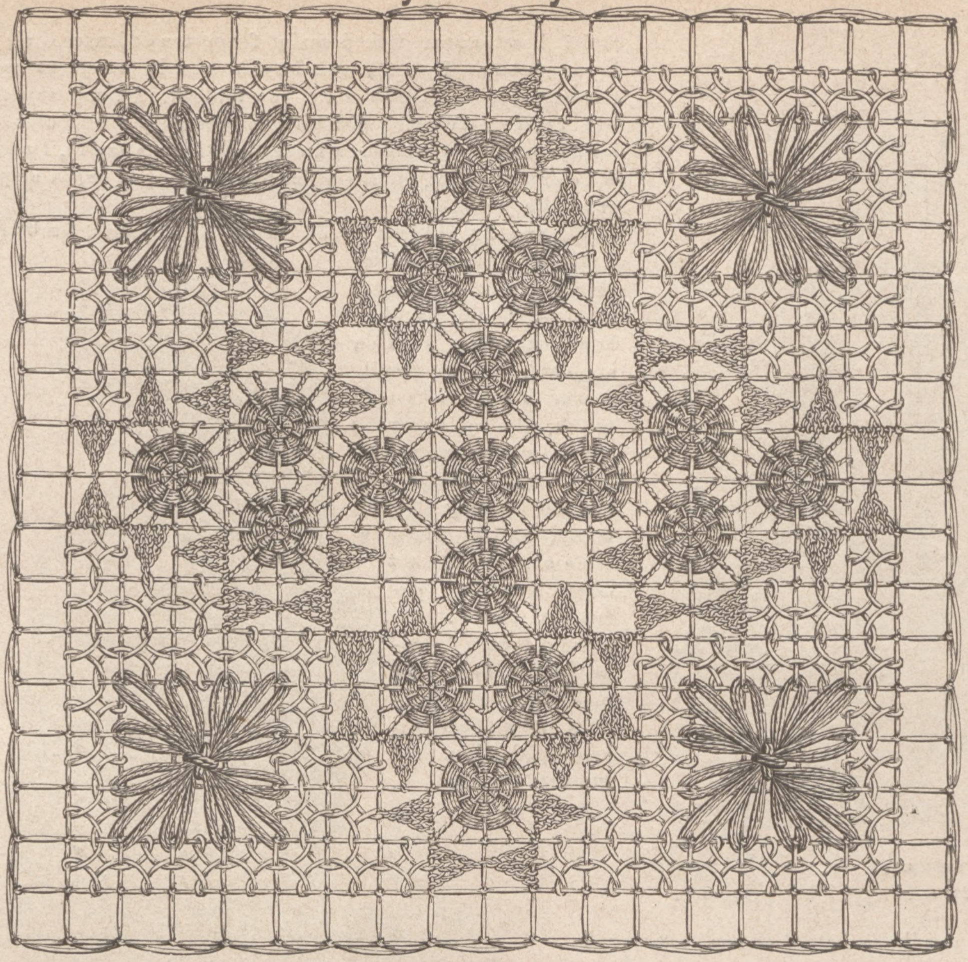
Mówił to głosem drżącym, ze łzami w oczach, idąc z ciotką i siostrą przez korytarz prowadzący do pokojów babki, tak pełnych dla nich wspomnień. Otworzył prędko drzwi i wszedł westchnąwszy smutnie.

— Wszak wszystko pozostało tak jak było dawniej? Oto stoi jej fotel przy tem samem oknie przy którem siadała zwykle, z którego uśmiechała się do mnie z taką czułością. Tu stoi jej stolik do roboty, tam jej starożytne biórko... Miałem nadzieję że ją zobaczę tu jeszcze spokojną, szczęśliwą!... O! droga babko moja! czy ty już wiesz teraz, że nie byłem tak niewdzięcznym, tak występnym jak sądziłaś? że pragnąłem zapewnić nie tylko moje ale i twoje szczęście, zaślubiając tę którą pokochałem, moją drogą milutką Melinę.

(D. c. n.)



N. 1. Spódnica z szerokim karczkiem. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 27—28.



N. 3. Kwadrat z siatki gipiurowej, odpowiedni do czepeczka ryc. 4.



N. 2. Spódnica z wązkim paskiem. Krój na arkuszu N. IX, fig. 29.

Opis do N-ru 31.

(Dokończenie.)

N. 23. Kosz na papiery ozdobiony haftowanym monogramem.

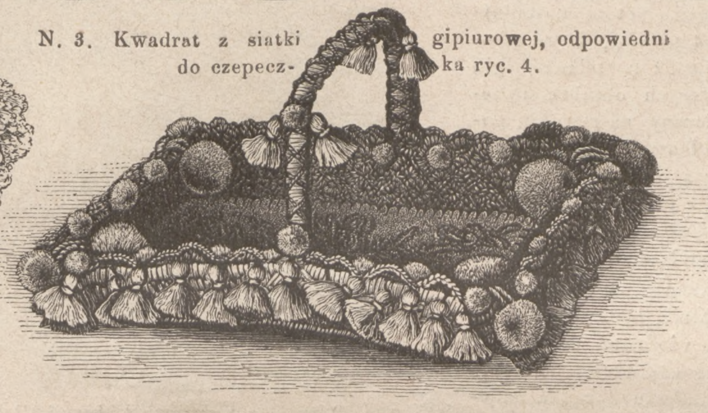
Kosz wyrzynany z dębowego drzewa, miał 53 c. wysokości, a 29 i 17 szerokości pojedyńczych ścianek. Ozdobę frontowej ściany stanowił haft na oliwkowym pluszu, odrobiony sznureczkiem, nitką i bajorkiem złotym Podszewka kosza była z fałdowanego atłasu oliwkowego, a sznury i kwasty z jedwabiu i złota.

N. 24. Kokarda krawatowa z batystowej chusteczki.

W miejsce kolorowych, jedwabnych chusteczek tak upowszechnionych w zimie, w obecnej porze kokardy krawatowe układane są z białych batystowych chusteczek, z rogami lub szlaczkami haftowanemi. Bardzo odpowiednie na ten cel są chusteczki podane na ryc 4 i 5, a na ryc. 8 dajemy w naturalnej wielkości deseń narożnika użytego do ryc. 24, w którym ścieg point d'armes połączony jest z haftem atłasowym, a punkty robione są kolorem białym i ponsowym lub niebieskim. Robiąc kokardę najpierw przemarszcza się po dwa razy, dwa naprzeciw siebie będące końce w odstępie 12 cent. od rogu, lecz nie ściąga się zmarszczenia aż po ułożeniu z reszty chusteczki pukli, które następnie przemarszczone koronką oszyte końce, prawie całkiem przykrywają.



N. 4. Czepeczek z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 3. Krój podstawy na ark. N. X, fig. 30.



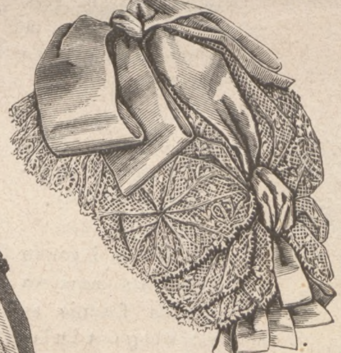
N. 9. Koszyczek płaski do robót. Patrz ryc. 10—13.



N. 10. Deseń na denko koszyczka r. 9. Patrz fig. 32 na arkuszu z krojami.



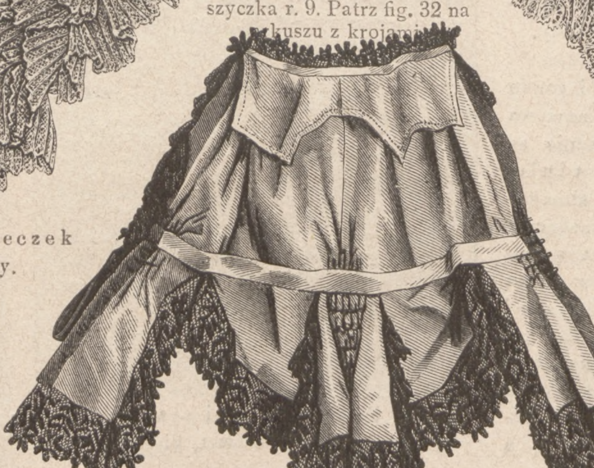
N. 6. Czepeczek okrągły.



N. 7. Czepeczek z koronki i dwojakiej wstążki.



N. 5. Czepeczek zdobny wązką wstążeczką.



N. 8. Lewa strona okrycia ryc. 22—23.

N. 25—27. Trzy podróżne parasole.

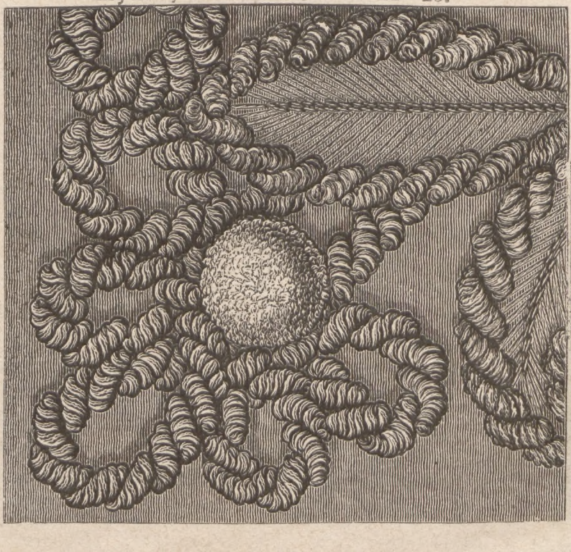
W podróży przy zwiedzaniu okolic, najdogodniejsze są duże parasole en-tout-cas które od deszcu i od palącego słońca chronią. Takie parasolki mogą być zarówno z płótna kolorowego, materyałów jedwabnych lub bawełnianych, z podszewką lub bez podszewki. Ryc. 25 przedstawia parasolik pokryty jasną satynką w rzucik kolorowy, ozdobiony lekkiem wyszyciem odpowiedniemi jedwabiami, mocna laska ma u dołu ostro zakończone żelazne okucie, ułatwiające wchodzenie na góry. Na ryc. 26 i 27 parasole pokryte ciemną jedwabną materyą, odznaczają się pięknie wyrobionemi laskami.

N. 28—30. Vêtement formą płaszczyka. Krój i próbka gipiury szydełkowej na arkuszu z formami N. IV, fig. 8—15.

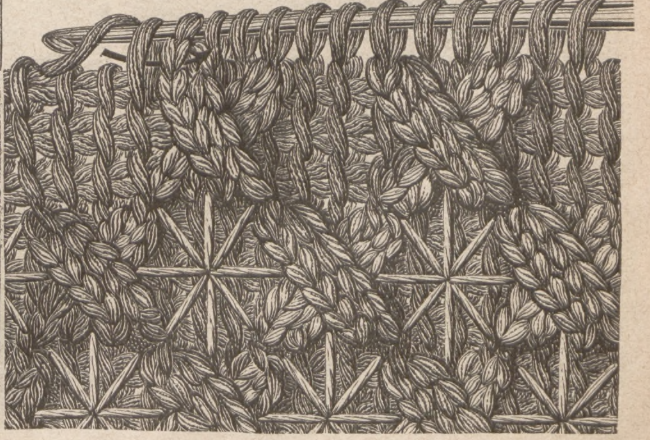
Model vêtement stanowił wykwintne i strojne dopełnienie spacerowego ubrania; jednakże i przy



N. 11. Robota szydełkowa na pokrycie ścianek koszyczka ryc. 9.



N. 12. Część denka w naturalnej wielkości do koszyczka r. 9. Wyszycie włóczką koralową. Deseń na ark. fig. 32.



N. 13. Tło szydełkowe do koszyczka ryc. 9, służ c mogące na kołdry i t. p.



N. 14. Sukieneczka wycięta przemarszczana. Patrz r. 16. Krój na ark. N. VI, fig. 20—21.

N. 15. Sukieneczka princesse.

W środek każdego kwadratu daje się gwiazdkę zaczętą kółkiem z 8 oczek powietrznych, obrobioną 16 oczkami śc. łańcuszkowemi, potem następuje 8 pentelek robionych igłą, na każdą nawłóczy się 4 perełki, które zarazem przyczepia się do gwiazdki i do kwadratu. Takiemiż pentelkami igłą robionemi i przyczepianemi ząbkami z oczek powietrznych obrabia się zewnętrzny brzeg kwadratu. Drugi rząd ząbków widoczny na ryc. 30, pokazuje jakim sposobem łączą się ze sobą dwoma perełkami następne kwadraty. Na fig. 8a—14a widzieć można jak się łączą ze sobą pojedyńcze części, a kratkowanie wskazuje które z nich daje się z przezroczystego materyału. Boczne bryty (fig. 11) podszyte są w górze od spodu, wstążką 2 cent. szeroką, bryt tylny jest podług znaków sfałdowany i od Q do gwiazdki z plecami zeszyty, szew przykrywa duża kokarda. Trochę wyżej, na wcięciu w stanie, podszyta wstążka do obciśnięcia vêtement do figury, które z przodu zapina się na kryte haftki. Na kołnierzu koronka fałdowana naszyta jest w dwa jeden na drugi zachodzące rzędy, a na tylnym brycie wachlarzowo ułożona.



N. 26. Suknia z przemarszczeniem (coulissé). Patrz przód r. 27. Krój na ark. N. XI, f. 31.



N. 27. Przód do ryc. 26.

N. 31. Kapotka z ażurowej, słomkowej torsady.

Główkę i rondo kapelusza naszywa się na fasonie ze sztywnego tiulu, torsadami słomkowemi, przewłóczonemi 1 cent. szeroką pliską z atłasu vieil-or; ostatni rząd naszycia stanowi koronka słomkowa. Od spodu rondo podszyte aksamitem bordo, a brzeg zdobią grelotki z kulek słomkowych i perełek szklanych, koloru bordo, do wązkiej słomki przyczepione. Szarfa 200 cent. zeszyta z obróconej na dwie strony, 6 cent. szerokiej koronki koloru vieil-or, upięta na główce stanowi szarfy. Ubranie kapelusza stanowi biała czapla kitka, otoczona wyciskanemi piórami i frendzlą sznelową vieil-or, i bukiet z róż w takim samym kolorze.

N. 32 i 22. Kapotka z główką z kwiatów.

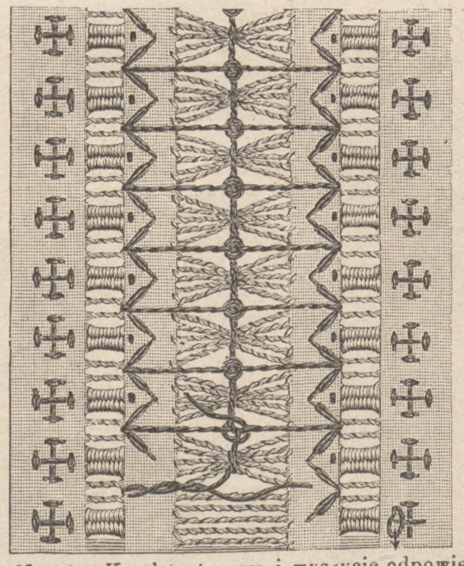
Dyademowe rondko foremki pokrywa się gładko bronzowym aksamitem, a główkę materyą słomkowego koloru, tę ostatnią następnie zupełnie zasłaniają kwiaty akacyi. Dalsze ubranie stanowi koronka żółtawa, wyszyta ściegiem tamburkowym, nitką złotą i pojedyńczemi złotemi perełkami ozdobiona, sposobem wskazanym na próbce naturalnej wielkości, na ryc. 22. Lekko fałdowana koronka otacza główkę, spada na rondo, a przyszyta do 3 cent. szerokiej aksamitki, stanowi barbkę spiętą gałązką akacyi.

mniej kosztownem wykończeniu fason ten odznacza się dobrym gustem. Ryc. 28 przedstawia z tyłu vêtement wolno puszczone, odrobione z satin merveilleux, gipiury szydełkowej, 11 cent. szerokiej hiszpańskiej koronki, 6 i 17 cent. szerokiej wstążki w atłasie, z której ostatnia na szarfy, i z surah w kolorze vieil-or, stanowiącym podszewkę pod części nieprzezroczyste.

Na ryc. 29 widzimy przód takiegoż vêtement, zrobionego z miękkiej materyi jedwabnej w rzucik perełkowy, w miejsce gipiury szydełkowej ozdobione siatką sznelową. Fig. 15 przedstawia w zmniejszeniu próbkę gipiury, do której jeden kwadrat w naturalnej wielkości podajemy na ryc. 30, podług której można gipiurę własnoręcznie odrobić. Do każdego kwadratu potrzebna jest czworokątna ołowiana foremka, którą obrabia się czarnym kordonkowym jedwabiem oczkami ścisłemi, a drugi raz łańcuszkiem.



N. 22. Okrycie z szalowemi końcami. Patrz ryc. 8 i 23. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—2a.



N. 20. Kratka ażurowa i wyszycie odpowiednie na szlak do serwet, bielizny i t. p.



N. 18. Kapelusik zdobny piórami.

N. 19. Kapelusik zdobny kwiatami.



N. 28. Vêtement z pelerynką dla dziewczynki.

N. 24. Suknia z podwójną tuniką. Patrz ryc. 25. Krój draperyi na arkuszu N. II, fig. 3.

N. 29. Suknia z tuniką à panier. Patrz ryc. 30.

N. 33. Kapelusz ubrany kwiatami.

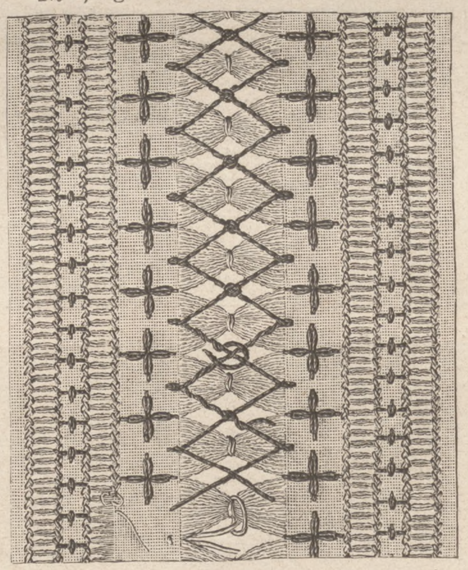
Ładny kapelusik z plecionek słomkowych, spiczastemi ząbkami zakończonych, nie wymaga sutego ubrania, takowe składa się tylko z hiszpańskiej koronki i bukietu z róż ciemno-ponsowych i blado-żółtych. Rondo podszyte ciemno-ponsowym przemarszczonym atłasem.

N. 34. Kapelusz ubrany koronką.

Do sukni jedwabnej suto zagarnirowanej koronką czarną lub białą, kapelusz powinien być taką samą koronką ubrany. Model do ryc. 34 był z bastu białego, ubrany białą 8 cent. szeroką hiszpańską koronką, sfałdowaną i naszytą od spodu i z wierzchu na rondzie. Koronka zeszyta środkiem na dwie strony, stanowiła sute upięcie na kapeluszu. Z boku pod koronką przypięte było długie i krótkie białe strusie pióro. Na ryc. 24 w N-rze 33 podajemy taki kapelusz czarny.



N. 23. Okrycie z szalowemi końcami. Patrz ryc. 8 i 22. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—2a.



N. 21. Kratka ażurowa i wyszycie odpowiednie na szlak do serwet, bielizny i t. p.



N. 16. Sukieneczka przemarszczana. Patrz ryc. 14. Krój na arkuszu N. VI, fig. 20—21.

N. 17. Sukieneczka z karczkiem. Patrz ryc. 37. Krój na arkuszu N. VII, fig. 22—26.

Opis do N-ru 32.

N. 1—2. Spódnice krótkie perkalowe.

N. 1. Spódnica z szerokim karczkiem. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 27-28.

Oryginalne przybranie przodu spódnicy stanowią przecięcia, odznaczające rodzaj patek i zapełnione fałdowaniem po 30 cent. szerokiem; miejsce przecięć wskazują cienkie linje na fig. 28. Wszywki i ząbki do oszycia patek, 3 i $1\frac{1}{2}$ c. szerokie, mogą być haftowane, szydełkowe lub fabryczne (trimming). Przód i bryty boczne wszyte w karczek gładko, tylny bryt przymarszczony drobno.

N. 2. Spódnica z wązkim paskiem. Krój na arkuszu N. IX, fig. 29.

Rycina 2 przedstawia spódniczkę uszytą na sposób angielski, to jest bez przecięcia rozporka i przemarszczenia tylnego bryta, górny brzeg którego wszyty gładko w pasek 3 cent. szeroki nawleczony tasiemką do wiązania. przód i boki założone w kilka małych fałdek wszyte w zaokrąglony pasek 35 cent. długi, w środku 5 w końcach 3 cent. szeroki. Wymiar brytów podany na fig. 29, potrzeba tylko dodać 4 cent. na dolny obrąb. Falbana 13 cent. szeroka, układana w kontrafałdy 2 cent. szerokie, przestębnowana z wierzchu, w górze przysłonięta haftem 3 cent. szerokim i przyszyta plisą skośną.

N. 3—4. Czepeczek z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 20 w N. 31. Krój na arkuszu N. X, fig. 30.

Stanowić może ładny podarunek z własnej robo-



N. 30. Plecy do ryc. 29.



N. 25. Suknia z podwójną tuniką. Patrz ryc. 24. Krój draperyi na arkuszu N. II, fig. 3.

ty; denko stanowi skośnie obrócony kwadra. siatki gipiurowej, podłożony czarnym jedwabnym tiulem, a z brzegów oszyty koronką. Fig. 30 daje formę podstawy ze sztywnego tiulu oszytej drucikiem i objętej żółtawą wstążką, ku twarzy idzie koronka suto fałdowana, a drugi rząd ułożony wachlarzowo przyszyty z wierzchu. Kokardy z atłasowej wstążki 3 c. szerokiej. Rycina 3 przedstawia kwadracik,



N. 32. Fartuszek dla dziecka. Patrz ryc. 33. Krój (na lat 3 do 5) na ar. N. V, fig. 16-19.



N. 31. Serweta ze szlakiem haftowanym. Patrz ryc. 43—44. Deseń na arkuszu z krojami N. III.

pione są w końcach kawałki gładkiego tiulu złączone z tyłu. Drobniutkie plisowanie fałdowane wachlarzowo, dane z żółtawego tiulu w muszki. Środek podstawy przykrywa fałdowany kawałek tiulu, 26 cent. szeroki; kokardy z atłasowej wstążki 3 cent. szerokiej dodają się podług ryc. 6.



N. 33. Fartuszek dla dziecka. Patrz ryc. 32. Krój (na lat 3 do 5) na ark. N. V, fig. 16-19.

N. 7. Czepeczek z koronki i wstążki dwojakiej szerokości.

Pasek sztywnego tiulu 53 c. długi, a 2 szeroki, pokryty blado-różową wstążką, z przodu założony w trzy fałdki z tyłu złączony tak, aby końce krzyżowały się z sobą, służy za podstawę, na której upięty czepeczek z pięknej koronki 5 cent. szerokiej i z blado-różowej wstążki 6 i 3 cent. szerokiej. Upięcie czepeczka wskazuje rycina.



N. 37. Sukieneczka z karczkiem. Krój i przód patrz ryc. 17.



N. 35. Kapelusik zdobny wieńcem z kłosów i kokardą.



N. 34. Żabot naszyty perełkami.



N. 36. Kapelusik zdobny kwiatami.



N. 38. Sukieneczka formą bluzy.

który przez dodanie szlaczku podług ryc. 20 w N. 31 powiększony jest do 19 cent. Końce siatkowe 60 c. długie, u dołu 20, w górze 10 cent. szerokie, mają u dołu takież wyszycie jak na denku, brzegi zaś oszyte marszczoną koronką.



N. 39. Kołnierz chusteczkowy z koronki i wstążki.



N. 41. Haft na poduszkę do kanapy.



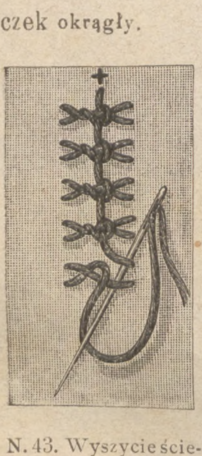
N. 40. Chusteczka z gazy i koronki.

N. 5. Czepeczek garnirowany wąziutką wstążeczką

Odpowiedni dla osób starszych ma formę większą i otacza twarz w około, do paska sztywnego tiulu 32 cent. długiego, a 6 szerokiego przyczepia się denko muślinowe u dołu objęte wstążką atłasową 6 c. szeroką, która w dalszym ciągu stanowi końce związane w kokardę. Cała ta podstawa zagarnirowana jest koronką, 5 cent. szeroką, a do przodu dany suty dyademowy garnirunek ułożony podług ryc. 5. Koronkowe końce wiążą się z tyłu lub pod brodą.

N. 6. Czepeczek okrągły.

Lekki gustowny czepeczek w kształcie wianeczka upięty na pasku sztywnego tiulu 6 cent. szerokim, 30 długim, oszytym drucikiem, do którego przycze



N. 43. Wyszycie ściegu wiązanego do serwety ryc. 31.

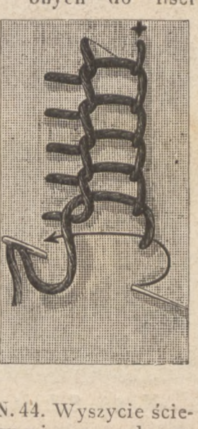


N. 42. Robota naszywana na deseniowym aksamicie.

N. 9—13. Koszyczek do robót. Haft i robota szydełkowa. Deseń na arkuszu fig. 32.

Bardzo ozdobny koszyczek pleciony z bronzowej słomki, liczy 31 cent. długości, 19 szerokości, a 4 cent. głębokości, denko przysłania haft odrobiony na kawałku zielonawo-popielatego sukna, 26 cent. długim, a 12 cent. szerokim. Rycina 12 załącza w naturalnej wielkości część haftu, którego czwartą część daliśmy pod fig. 32 na arkuszu z krojami, a całość w maleńkim formacie podajemy na ryc. 10. Kontury wyszyte są nowym rodzajem włóczki, zwanej włóczką koralcową, przyczepianej niewidocznemi ściegami. Środki figur podobnych do liści zapełnione są ściegami dzierganemi jedwabiem cienkim, ściegi schodzą się środkiem liścia, co odznacza żyłkę środkową.

(D. n.)



N. 44. Wyszycie ściegu wiązanego do serwety, ryc. 31.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. I. Okrycie z szalowemi koncami. Rycina 22 i 23 w N-rze 32.
Fig. 1. Przód i plecy z linją przecinającą formę.
Fig. 1A. Górna połowa (A, B, *, :) —— * —— * ——
Fig. 1B. Dolna połowa (*, :, +)
Fig. 2. Karczek (A, B, C) ○○○○○
Fig. 1a — 2a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 1—2.



Fig. 3.

Fig. 1a-2a.

N. II. Draperya do sukni ryc. 24—25 w N-rze 32.
Fig. 3. Wskazanie kroju połowy draperyi, *a* połowa przodu, *b* bryt boczny, *c* bryt tylny.

N. III. Dwa kaftaniki do negliży. Ryciny 16—17 w N-rze 31.
Fig. 4. Przód i bok (D, E, F, G, H, K, :) 1 założenie ——
Fig. 5. Połowa pleców (F, G, H, *) ∼∼∼∼
Fig. 6. Rękaw (D, I, K, L) —— —— ——
Fig. 7. Kołnierz odpowiedni do kaftanika ryc. 16—17 (*, :) —— ○ ——
Fig. 4a — 7a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 4—7.

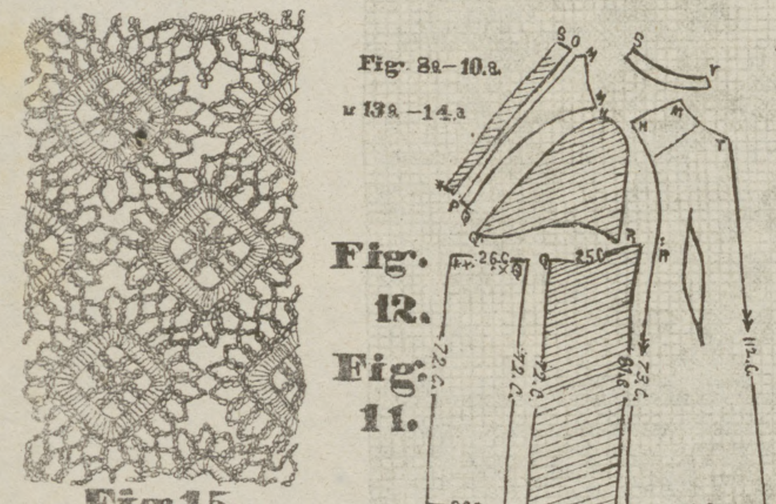


Fig. 8a—10a.

w 13a—14a

Fig. 12.

Fig. 11.

Fig. 15.

N. IV. Vêtement płaszczykowe. Rycina 28—29 w N-rze 31.
Fig. 8. Przód (M, N, R, T, :) 1 założenie —— - —— - ——
Fig. 9. Pierwsza część pleców (M, N, O, P, Q) —— × —— × ——
Fig. 10. Połowa drugiej części pleców (O, P, S, *, +, ·) + + + +
Fig. 11. Wskazanie kroju bocznego bryta (Q, :)
Fig. 12. Wskazanie kroju tylnego bryta (Q, *)
Fig. 13. Część stanowiąca rękaw (N, Q, R)
Fig. 14. Połowa paska do kołnierzyka (S, T)
Fig. 8a—10a i 13a—14a. Zmniejszony format kroju fig. 8—10 i 13—14 zestawionych z fig. 11 i 12.
Fig. 15. Szydełkowa gipiura do okrycia ryc. 28—29 w N-rze 31.

N. V. Fartuszek dla dziecka lat 3—5. Rycina 32—33 w N. 32.
Fig. 16. Połowa przodu (U, V, W, X, *, :)
Fig. 17. Połowa pleców (U, V, W, X)
Fig. 18. Rękaw (W, X, +)
Fig. 19. Klapka boczna (*, :) * * * * *

N. VI. Sukieneczka wycięta z przemarszczaniem. Rycina 14 i 16 w N-rze 32.
Fig. 20. Połowa przodu (Y, Z, *, :) ↔ ↔ ↔
Fig. 21. Połowa pleców (Y, Z, *, :)

N. VII. Sukieneczka z karczkiem dla dziewczynki lat 2—4. Rycina 17 i 37 w N-rze 32.
Fig. 22. Przód (a, b, h, i, k, l, n)
Fig. 23. Boczek (a, b, c, d, e) ·×·×·×·×·
Fig. 24. Połowa pleców (c, d, e, f, g, h, i, m) = × = × =
Fig. 25. Połowa karczka (f, k, l, m)
Fig. 26. Rękaw (n, o, p, q)

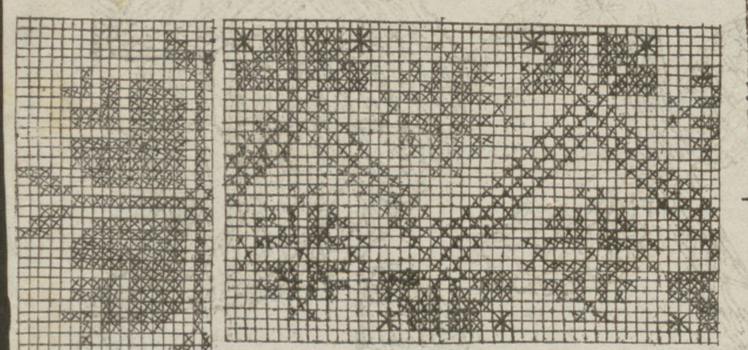
N. VIII. Spódnica z szerokim karczkiem. Rycina 1 w N-rze 32.
Fig. 27. Połowa karczka = ○ = ○ =
Fig. 28. Wskazanie kroju połowy spódnicy, *a* połowa przodu, *b* bryt boczny, *c* połowa bryta tylnego.

N. IX. Spódnica z wązkim paskiem. Rycina 2 w N-rze 32.
Fig. 29. Wskazanie kroju połowy spódnicy: *a* połowa przodu, *b* bryt boczny, *c* połowa tylnego bryta.

N. X. Podstawa do czepeczka. Rycina 4 w N-rze 32.
Fig. 30. Połowa podstawy

N. XI. Tunika do sukni. Rycina 26—27 w N-rze 32.
Fig. 31. Wskazanie kroju połowy tuniki: *a* połowa przodu, *b* połowa tylnego bryta.

Fig. 36a



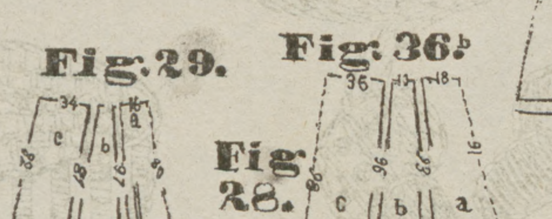
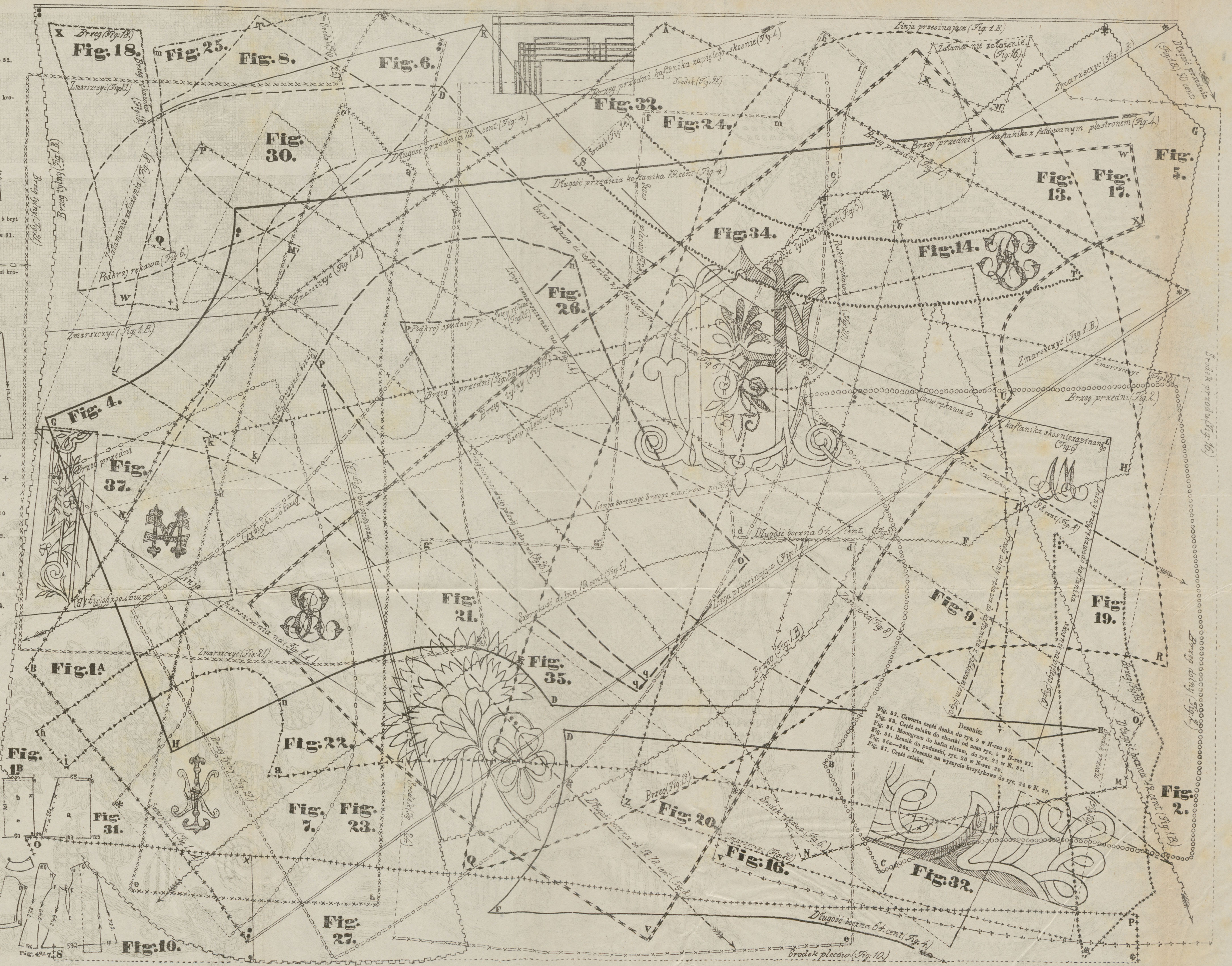


Fig. 29. Fig. 36b Fig. 28.



Desenie:
Fig. 32. Czwarta część denka do ryc. 9 w N-rze 32.
Fig. 33. Część szlaku do chustki od nosa ryc. 5 w N-rze 31.
Fig. 34. Monogram do haftu złotem, do ryc. 23 w N. 31.
Fig. 35. Rzucik do poduszki, ryc. 20 w N-rze 29.
Fig. 36a—36c. Desenie na wyszycie krzyżykowe do ryc. 24 w N. 29.
Fig. 37. Część szlaku.

